



STR. 11

TYDZIEŃ PLASTYKI  
ŁÓDZKIEJ

WYDANIE SPECJALNE

STR. 7, 8, 9, 10

X OGÓLNOPOLSKI  
FESTIWAL POEZJIZAPIS  
PIĘCIU  
GODZIN

STR. 1 i 4

## ODGŁOSY

ROK XVIII NR 22 (912)

29 MAJA 1975 ROKU

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## REKOMENDACJE

... są przecież te nasze festiwale chwilą refleksji, a czasem nawet troski o wygłos słowa najpierwszy, o przywrócenie mu nie tylko właściwego znaczenia, lecz jednocześnie siły zdolnej przeobrazić ludzi i świat, rozpaść wyobraźnię, wzruszać. Nikt nas, pisarzy z tego obowiązku nie zwolni..." Tak określa rolę tego dziesiątego już ogólnokrajowego spotkania poetów w naszym mieście, prezes Oddziału Łódzkiego ZLP, Jerzy Wawrzak. Temu doniosłemu wydarzeniu artystycznemu, jakim jest X Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi, poświęcamy w dzisiejszym numerze specjalną czterostronicową wkładkę, w której czytelnik znajdzie nie tylko wiersze poetów naszego środowiska, lecz również szereg artykułów traktujących o poezji i poetyce.

O doniosłej roli literatury i sprawach pisarzy w naszym mieście mówi również I sekretarz POP przy Oddziale Łódzkim Związku Literatów Polskich, Karol Obidniak.

Wiesław Puszczyk, w artykule: "Poetycki sezon 1974" proponuje Czytelnikowi rodzaj bibliografii, poświęconej dorobkowi twórczemu poetów w minionym roku. Miłośnikom słowa i piękna języka polskiego polecamy natomiast felieton Wiesława Jazdyńskiego: "Policja językowa".

Innym doniosłym wydarzeniem kulturalnym w naszym mieście jest rozpoczęty w ramach 7 Łódzkiej Wiosny Artystycznej - Tydzień Plastyki. O problemach tego środowiska pisze dziś Zdzisław Baranowski i Grzegorz Sztabiński. Zamieszczamy również serię zdjęć naszych artystów i malarzy. Do spraw łódzkiej plastyki powrócimy zresztą w najbliższym numerze.

Wprowadziliśmy obecny numer poświęcony jest w większości sprawom poezji i plastyki, nie oznacza to jednak wcale iż Czytelnik nie znajdzie innych materiałów publicystycznych. Lucjusz Włodkowski omawia na przykład zagadnienia związane z projektowanymi zmianami w podziale administracyjnym kraju i zadaniami Łódzkiego Województwa Miejskiego. Doc. dr hab. Romuald Skowroński, w naszym stałym cyklu spotkań z koryfeuszami nauki, analizuje dorobek naukowy Uniwersytetu Łódzkiego. Bogda Madej przygotowała dla miłośników sportu impresje i migawki z zakończenia etapu Wyścigu Pokoju w Łodzi.



RYSZARD BINKOWSKI

CIUŁACZE  
STARYCH TROPÓW

- Tu wszystko na „przeszłość” leży. Kopać można wszędzie, ja roboty się nie boję, mógłbym babrać się w ziemi przez pół roku, ale forsę starcza tylko na miesiąc. Wygrzebuję stale coś nowego, w magazynach i za szkłem trzy tysiące eksponatów, ale czy one powiedzą wszystko? Co my w ogóle wiemy o przeszłości. Däniken? Przyczepili mu trzy łatki, wariat, hochsztapler, genialny samouk, lecz nie da się ukryć, że ma on w swoich wywodach rzeczy mocne, trudne do podważenia. Kto wie, czy nie zaczniemy wierzyć w Dänikena?

Energiczny młody człowiek o szczupłej twarzy. Bądź co bądź naukowiec, archeolog, a furkocze polami czarnego fartucha, wymachuje rękami, strzela szybko słowami, a oczy mu płoną. Pomyłony jaki, czy co? Nowy wyznawca Dänikena? Za grubo powiedziane, naukowiec ma prawo mieć wątpliwość. Mgr BOGUSŁAW ABRAMEK twierdzi, że pytań jest wiele.

Powstają legendy, obrastają w cudowności, a publiczna tajemnica nie się je z pokolenia w pokolenie. Kiedy w Konopnicy znaleziono piękny kurhan z II wieku, okazało się, że dla mieszkańców żadne to odkrycie. Kopiec był zawsze, a w kopcu diabeł. No powiedzmy, zły człowiek z diablím charakterem. W noc świętego Jana nad kopcem dymy, opary,

bo pod spodem gotuje się i oczyszcza złoto.

Nie ma legendy bez skarbów, tylko sęk w tym, skąd mieszkańcy wiedzieli o złocie? Bo legenda sprawdziła się i archeologowie znaleźli w kurhanie złoto...

Pod szkłem zrekonstruowany gród prasłowiański. Obok lewego biodra nieboszczyka kupa ziaren, o których tak trąbiono w prasie. Niemożliwe, aby przetrzymały dziewięćset lat. Gryzon jakiś naściagał i tyle! Z tym, że nie ma śladów gryzonia, stara warstwa gruntu nienaruszona, a wokół ziarna taka ciemna otoczka. Znak, iż ziarno mogło leżeć w mieszku, który rozpadł się z czasem.

Dalszy ciąg na str. 5

21 MAJA 1975 ROKU

BOGDA MADEJ

ZAPIS  
PIĘCIU  
GODZIN

XXVIII Wyścig Pokoju dobiegł już końca. Znamy jego wyniki. Naczeszyliśmy się pierwszym miejscem Ryszarda Szurkowskiego i pogodziliśmy się z faktem, że nasza drużyna w tym roku zajęła czwarte miejsce w klasyfikacji drużynowej. Nie zapominamy, że Jan Brzeźny zwyciężył w klasyfikacji górskiej, a Ryszard Szurkowski był najaktywniejszym kolarzem na całej trasie tegorocznego wyścigu.

To wszystko pamiętamy, a zapewne telewizja i film pozwolą nam przeżyć jeszcze raz najciekawsze chwile XXVIII Wyścigu Pokoju. Nie mam więc zamiaru wracać do wspomnień z XII etapu, prowadzącego z Konina do Łodzi. Chciałabym tylko sprezentować w miarę możliwy zapis wydarzeń tego dnia. Chciałabym odpowiedzieć na pytanie: co działo się w mieście w godzinach, kiedy kolarze jechali z Konina do Łodzi?

Ostatnio można spotkać się z opiniami, że Wyścig Pokoju już się przeżył, że nie budzi takiego zainteresowania, jak to bywało dawniej, nie gromadzi tylu ludzi na trasie, którą jadą kolarze. Po 6 latach przerwy Łódź znów wyznaczono miastem etapowym XXVIII Wyścigu Pokoju. Jak to więc było w Łodzi 21 maja 1975 roku?

Trzeba zatem ten zapis zacząć od samego początku, od momentu, kiedy wraz z naszym redakcyjnym fotoreporterem - Włodzimierzem Parvsem ruszyliśmy na stadion LKS. Była godzina 13.00. Pierwsza impreza na stadionie miała się zacząć dopiero o godzinie 14.00.

Godzina 13.25 - kasy stadionu jeszcze czynne, ale w pobliżu kręca się już koniki, oferując bilety na lepsze miejsca. Na stadionie trybuna i miejsca po przebiegnięciu już w większości pozajmowane. Od 25 minut działa sztab Milicji Obywatelskiej, której zadaniem jest zapewnić bezpieczeństwo na trasie i stadionie.

Dalszy ciąg na str. 4

# OD CZWARTKU DO CZWARTKU

DZIEŃ DZIAŁACZA KULTURY

Zgodnie z doroczną tradycją, w ubiegłą sobotę, w Urzędzie Miasta Łodzi z okazji Dnia Działacza Kultury odbyło się uroczyste spotkanie władz miasta z najbardziej wyróżniającymi się twórcami, pracownikami instytucji kulturalnych i artystycznych oraz ludźmi związanymi z upowszechnianiem kultury.

W obecności sekretarza KL PZPR — Z. FALEŃSKIEGO wiceprezident J. MOKAWIEC oraz wiceprzewodniczący Rady Narodowej

— G. GÓRTOWSKI wręczyli wyróżnionym działaczom odznaczenia państwowe, odznaki „Zasłużonego Działacza Kultury”, dyplomy ministra kultury i sztuki oraz nagrody ministra tego resortu.

Z prawdziwą satysfakcją odnowiliśmy, wśród odznaczonych i wyróżnionych znaleźli się nasi redaktorzy kolekcji — JERZY WAWRZAK i JERZY WILM, a także stali współpracownicy naszego pisma — F. BABOL, J. KWIECINSKI i M. KUNA. SERDECZNIE GRATULUJEMY

## NAGRODA

W czwartek, 22 bm. Komitet d.s. Radia i Telewizji opublikował listę nagrodzonych za twórczość radiową i telewizyjną w roku 1975. Wśród nagrodzonych znajduje się znany łódzki radiowiec — TADEUSZ SZEWERA, który otrzymał nagrodę za całokształt twórczości radiowej, ze szczególnym uwzględnieniem jego opracowań polskiej pieśni kłótniczej z okresu II wojny światowej.

## WSPÓŁPRACA UNIWERSYTETÓW

W kwietniu br. w Szegedzie przebywała delegacja Uniwersytetu Łódzkiego z prof. dr. hab. Władysławem Welce, prezatorem d.s. nauki na czele. Przeprowadzono rozmowy z kierownictwem Uniwersytetu — Józefem Tudoman Egypcem — oraz podpisano plan współpracy naukowo-kulturalnej między obu uniwersytetami na lata 1976-1977.

W tym roku wyjechało do Szegedy 9-osobowa grupa biologów na praktykę. Latem w Szegedzie odpoczywać będzie 40-osobowa grupa pracowników, a w przyszłości wspólnie zorganizowane będą kolonie dla dzieci obu uniwersytetów.

Współpracują też z sobą organizacje młodzieżowe: ZSP i KISZ. W ramach tej współpracy bawili niedawno w Szegedzie Teatr Studencki „Pstrąg”.

## FILM AMATORSKI

Platy już z kolei Przegląd Amatorskiej Twórczości Filmowej Ziemi Łódzkiej w Zdunskiej Woli stanowią okazję do dokonania obserwacji symptomów nowej „wizualnej epoki” w sferze najbardziej lokalnej. To, że przeglądy odbywają się corocznie właśnie w Zdunskiej Woli nie jest sprawą przypadkową. Tu wszakże istnieje aktywny Amatorski Klub Filmowy. W puli 24 filmów konkursowych znalazło się 12 pozycji — zrealizowanych przez twórców w nim zrzeszonych.

Większość twórców puszczając się może dojrzałym opóźnieniem waznata, wysokim stopniem uoskonalecia techniki obrazu filmu. Przypadek najbardziej dojrzały stanowić może tu interesujący film W. Pawłowskiego „Portret miasta”, obrazujący historię Zdunskiej Woli, w którym wykorzystano archiwalne filmy z okresu międzywojennego kopijowane były przez twórców dostawnie klatka po klatce.

O wiele gorzej przedstawia się sprawa znajomości języka filmowego u realizatorów oraz sprawa pomysłów scenariuszowych zaprezentowanych filmów. W znacznym mierze filmy starające się wyrazić pewien założony sens, zbudowane na zasadzie dochodzenia do poloty — albo nakiętych — nie eksponują, albo akcentują ją zbyt natrónie. Film amatorski, o czym przekonał zestaw filmów przeglądu, stanowić musi zarazem twór będący nieuchronnie rezultatem działania dwójnokiego rodzaju wpływów. Z jednej strony wyraża to samodzielną, oryginalną myśl twórczej pomysłowości i realizatora, z drugiej zaś ulega niezwykłej silnemu oddziaływanu kina profesjonalnego, oferującego nieraz mechanicznie stosowane przez amatorów schematy. Najbardziej niebezpieczną tego rodzaju zaprzęgniętowały filmy zrealizowane na wzór kronik filmowych. Natomiast najbardziej drastycznym przykładem wpływu współczesnych tendencji kina na twórczość amatorską był film „Cieleczka”, podświadomie lub z premedytacją starający się nawiązywać do fali sekcji i banalną myślą ubarwiający uagoscia. Bohaterki.

Były jednakże filmy tokujące swe ambicje w myślowej i formalnej oryginalności: przede wszystkim dwa utwory laureata przeglądu — J. Siempińskiego (AKF Chorałowi Ziemi Łódzkiej) — „Skryzyna” i „Tłaczki”, większość filmów najpodniejszego z twórców AKF w Zdunskiej Woli, A. Sobolewskiego, jak również — co jest faktem najbardziej optymistycznym — najmłodszych twórców zrzeszonych w Sekcji Filmowej przy Miejskim Ośrodku Kultury.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

# NA MAPIE KRAJU

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

# WIĘCEJ, ALE MNIEJ

Na mapie kraju pojawia się teraz 49 województw. Jest ich więcej niż było do tej pory, ale jednocześnie jest ich mniej niż było powiatów. W sumie przepływy decyzji i informacji musi stać się sprawniejszy, szybszy, a najniższe ogniwo władzy — gmina — bardziej samodzielne w działaniu, podejmowaniu inicjatyw i ich realizowaniu.

## I

Na ogół nie zdajemy sobie sprawy, że trójstopniowy system władzy jest strukturą niezwykłą, istniejącą w Polsce już od kilkuset lat. Funkcjonowanie tego systemu — niezbędne w określonych warunkach — dziś, kiedy modernizujemy i przyspieszamy rozwój we wszystkich dziedzinach życia, stało się już hamulcem, przeszkodą. Powiaty spełniły swoją rolę, odegrały one w kształtowaniu nowych form życia gospodarczego, społecznego i politycznego pozytywną rolę. Były niezbędne. Jednakże nie wszystko, co w jednym okresie spełnia pozytywne funkcje, w innym — wytrzymuje próbę czasu i odpowiada nowym warunkom.

Wieloletnie funkcjonowanie trójstopniowego podziału władzy stało się już przeszłością, przechodzi do historii. Obojętne do tej pory mapy, ilustrujące podział administracyjny Polski, przestają być aktualne. Ukażą się nowe, ilustrujące podział administracyjny kraju, jaki ustanowi Sejm PRL, który będzie obradował 23 maja 1975 roku.

Spółeczeństwo z dużym uznaniem przyjęło decyzję XVII Plenum KC PZPR o likwidacji trójstopniowego systemu władzy i wprowadzeniu dwustopniowego. Aprobata dla tej decyzji płynęła z dążenia do bliższego kontaktu z władzą, do współuczestniczenia w wielu decyzjach i inicjatywach. Móc więcej załatwić na miejscu, bez konieczności odwoływania się do wyższej in-

stancji, która przytrzymała część kompetencji, bez jeżdżenia do powiatu — to znaczy żyć łatwiej, sprawniej rozwiązywać wiele pozornie tylko skomplikowanych spraw.

Z drugiej jednak strony niezwykła trwałość trójstopniowej struktury władzy w Polsce spowodowała określony sposób myślenia, była niezwykle silną pożywką dla partykularyzmu. Wielu ludzi zbyt szybko i dokładnie nauczyło się myśleć wedle zasady: „bliźsza koszuła ciała” i dbać wedle tej zasady o lokalny interes przede wszystkim. Dwustopniowa struktura władzy zmusza do zmiany tego systemu myślenia, do uczenia się myślenia w kategoriach ogólnokrajowych. Zmusza do szukania miejsca na mapie kraju.

## II

Podziały administracyjne tworzy się dla sprawniejszego funkcjonowania państwa, dla ułatwienia życia narodowi. Są to podziały umowne, ale nie można lekceważyć ich roli i znaczenia. Dotychczasowe, wielkie województwa nie odpowiadały już gospodarce struktury kraju. Powstały nowe ośrodki i nowe powiązania gospodarcze, funkcjonowaniu których nie sprzyjał system działania w obrębie wielkich województw. Coraz częściej rodziła się potrzeba współdziałania międzywojewódzkiego.

Łódź, województwo łódzkie i województwo kieleckie musiały na przykład współdziałać przy zagospodarowaniu wybrzeży zalewu sulejowskiego. Wiele

spraw wspólnych miały do rozwiązania Łódź i województwo łódzkie. W niektórych rejonach województwa łódzkiego obserwowano się naturalne ciągnięcia ku województwom sąsiednim, poprzez związki gospodarcze przede wszystkim. Na przykład Skierniewice wyraźnie ciążyły ku województwu warszawskiemu. Narodziły się powiązania gospodarcze Kutna z Płockiem.

Nowy podział administracyjny kraju powiązania te utrwala, gdyż utworzony został na zasadzie regionów gospodarczych. Dzięki temu powstała sytuacja, w której chcąc preferować interes lokalny, trzeba przede wszystkim określić swoje miejsce na gospodarce i społecznej mapie kraju. Odpowiedzieć na pytanie: jaką rolę kraj zajmują nasz region, jakie ma do spełnienia zadania? A więc powstały warunki dla ścisłego sprężenia interesu lokalnego z interesem ogólnogospodarczym, do myślenia o sprawie regionu przez pryzmat spraw kraju. Jak to myślenie będzie funkcjonować w praktyce, to już zależy od ludzi, od tych, którzy będą na co dzień troszczyli się o sprawy gminy i województwa, a po części i od nas wszystkich.

Reforma systemu władzy w Polsce jest bowiem dalszym utrwaleniem demokracji socjalistycznej, tworzy większą szansę na rozwijanie inicjatyw i na udział w zarządzaniu. Wraz z wzrostem roli i znaczenia gminy i miasta, rośnie też rola i znaczenie samorządu, który w tej gminie i w mieście funkcjonuje, a którego działalność była niejednokrotnie zbyt silnie ograniczana i kępowana przez nadmierną biurokrację.

## III

Wprowadzana u nas w życie reforma systemu władzy ma swoje odpowiedniki w innych krajach socjalistycznych, a przede wszystkim w Bułgarii, Rumunii i na Węgrzech. Wprawdzie na Węgrzech utrzymano trójstopniowy system władzy, ale odnosi się on tylko do władzy wykonawczej. Rady narodowe istnieją bowiem tylko w gminie lub mieście i w województwie. W powiecie istnieją tylko urzędy, które są jakby agendami władzy wojewódzkiej. W NRD nadal funkcjonuje trójstopniowy system

władzy i administracji, ale jednocześnie dla przemysłu, rolnictwa i komunikacji funkcjonuje inny, nie przystający do tego, system podziału.

Podobnie i u nas w podziale administracyjnym na 49 województw funkcjonować będą struktury ponadwojewódzkie, dotyczące przede wszystkim przemysłu, komunikacji, sądownictwa, leśnictwa. Po prostu nie wszystkie instytucje muszą znaleźć swoje odpowiedniki w każdym województwie, gdyż dla sprawności ich funkcjonowania lepiej będzie, gdy będą działają w skali regionalnej, okręgowej, ponadregionalnej.

## IV

W nowej strukturze administracyjnej powstają trzy województwa miejskie: WARSZAWA, KRAKÓW, ŁÓDŹ. Są to zupełnie nowe twory, powstałe w wyniku wieloletnich procesów aglomeracyjnych. Łódzka aglomeracja jest tworem ukształtowanym historycznie. Jej załatek powstał w XIX wieku, w czasach żywiołowego rozwoju włókiennictwa w okolicach Łodzi. **Pabianice, Zgierz, Konstantynów, Aleksandrów** łączą nie tylko więzy ekonomiczne: przemysł bawełniany w Łodzi i Pabianicach, wełniany w Zgierzu, Łodzi i Konstantynowie, późnocośnizczy w Łodzi i Aleksandrowie. W Łodzi i Pabianicach pracują oddziały kombinatu „Ponar-Jotes”, w Zgierzu powstaje fabryka urządzeń dla transportu wewnętrznego w przemyśle lekkim. Miasta te łączą również więzy społeczne i kulturalne. Wielu mieszkańców Pabianic, Konstantynowa i Zgierza pracuje w Łodzi i odwrotnie — z Łodzi ludzie jeżdżą do pracy w tych miastach. Łódź stanowi dla ludności miast pobliskich naturalny ośrodek kulturalny, oświatowy i naukowy.

Powstanie województwa miejskiego ŁÓDŹ znosi dotychczasowe podziały i utrwala związki. Nowy twór administracyjny otrzymał naturalne warunki dalszego rozwoju.

ju, warunki ukształtowane historycznie w regionie przemysłowym wraz z najbliższym rolniczym zapleczem.

Powstanie tego regionu nie znosi związków, jakie przemysłowa Łódź posiada z całym krajem — związków gospodarczych, kulturalnych, społecznych. Stwarza warunki dla ich wzmocnienia i dalszego rozwijania. Taka jest bowiem rola nowych województw. Taka jest rola również gmin, na obszarze których działają zakłady przemysłowe czy rolne — tworzyć im warunki najlepszego rozwoju.

## V

Najbliżsi sąsiedzi województwa miejskiego ŁÓDŹ to województwa: piotrkowskie, sieradzkie, skierniewickie, plockie, kaliskie, konińskie, wrocławskie, częstochowskie. Ziemię Piotrkowską czy Sieradzką — ukształtowane historycznie — mieliśmy okazję niejednokrotnie prezentować.

**Plock, Konin, Kalisz, Włocławek** — stały się w ostatnich latach silnymi ośrodkami gospodarczymi. Plock — to petrochemia i przemysł budowy maszyn rolniczych, ściśle współpracujący z Kutnem, gdzie powstaje odlewnia żelaza dla całego przemysłu maszyn rolniczych. Konin — to 18 proc. krajowej produkcji energii elektrycznej i 40 proc. krajowej produkcji węgla brunatnego, to zespół kopalni i elektrowni: Patnów — Adamów — Konin. Kalisz jest wielkim ośrodkiem przemysłu włókienniczego, pracuje tam fabryka budowy instrumentów muzycznych. W Kaliszu już od 15 lat odbywała się spotkania teatralne. **Włocławek** — to przemysł chemiczny, fabryki celulozy i papieru, lin i drutu, fajansu, termometrów i przemysłu spożywczego.

Każde z tych województw odgrywa w gospodarce narodowej swoją rolę. O ich roli, miejscu i znaczeniu w ogólnonarodowej gospodarce będziemy chcieli obszerniej pisać na łamach naszego tygodnika.

## SPROSTOWANIE

W wyniku skrótów, dokonanych w artykule Haliny Dolaty „Słownik pisarzy łódzkich” Karol Obidniak, („Odgłosy”, nr 20), rejestr utworów pisarza „uszczipiony” został o powieść autobiograficzną „Jak zostać generałem” (Łódź 1970). Za przeoczenie to przepraszamy Karola Obidniaka, autorkę szkicu i Czytelników.

## NIE TYLKO HISTORIA

# ZAINTERESOWANIE POLSKA

Zainteresowania historyków radzieckich dziejami Polski są tak intensywne, że doprawdy trudno jest śledzić bodaj tylko najważniejsze publikacje naukowe, w których ogłaszane są wyniki badań historycznych, odnoszących się do przeszłości naszego kraju. Ledwo zdążyłem zdać sprawę z ciekawej pracy radzieckiego historyka o J. Lelewela, a już wpadły mi do ręki dwa spore tomy studiów, oba opublikowane w zeszłym roku przez Instytut Słowiańszczyzny i Bałkanistyki, w których aż roi się od interesujących „poloniców”.

Pierwszy z tych zbiorów nosi bardzo ogólny tytuł: „Europa środkowa i południowo-wschodnia w czasach nowożytnych” i przynosi nam aż dziesięć prac historyków radzieckich, dotyczących naszej historii. Jest tu więc rozprawa O. E. Iwanowej o sprawie agrarnej w Polsce w drugiej połowie XVIII w. w poglądach S. Sta-

szcja, studium wybitnego, dobrane znanego nam W. A. Dżakowa o składzie społecznym i klasowym charakterze polskich ruchów wyzwolńczych w latach 30-40 XIX w., jest praca N. P. Mitinej o ideologii uczestników polskiego ruchu narodowowyzwolenczego w latach 30 XIX w. i rozprawa S. M. Falkowicza o polskiej prasie w Belgii w czasie powstania styczniowego. Ponadto w omawianym zbiorze znalazły się rozprawy: L. W. Bażenowa o nurtach politycznych w powstaniu 1831 r. na prawobrzeżnej Ukrainie, A. I. Bortnikowa o udziale rosyjskich oficerów i żołnierzy w Konarszczyźnie, praca S. M. Steckiewicz i W. A. Jakubskiego o poglądach Fryderyka Engelsa na wewnętrzne przyczyny upadku dawnej Rzeczypospolitej, niewielkie studium E. A. Dwojczenko-Markowej o związkach polskiego ślawisty i prawnika W. A. Maciejowskie-

go z nauką rumuńską, wreszcie praca J. I. Sztakelberg o... sfragistycie powstania styczniowego.

Drugi zbiór studiów, na który chciałbym zwrócić uwagę, nosi tytuł: „Ruchy społeczno-polityczne w Europie środkowej w XIX — początku XX w.”. Problematyki polskiej dotyczy w nim siedem prac: rozprawy naukowych bądź publikacji o charakterze materialowym.

Pod względem chronologicznym najdalej wstecz sięgnęli autorzy, zajmujący się dziejami powstania styczniowego: wspomniany J. I. Sztakelberg, który publikuje studium o strukturze polskiej organizacji powstańczej w latach 1862-1864 na podstawie informacji sfragistycznych oraz J. I. Sztakelberg, autor niewielkiego szkicu o wspomnianych węgierskich uczestników polskiego powstania w 1863 r. Nad wyraz interesujący materiał ogłosiła T. F. Fiedosowa: od-

nalazła ona i opublikowała wraz z krytycznym komentarzem arcycelekwy, obszerny list polskiego zesłańca Bronisława Szwarce z 1876 r. w sprawie... projektu utworzenia „nowej, niezależnej Polski” na wyspach Oceanii, koncepcji, które rozwijał współcześnie P. Wereszczyński. Pozostałe studia dotyczą już czasów nam bliższych i zagadnień lepiej znanych czytelnikom: problemów polskiego ruchu rewolucyjnego końca XIX i początku XX w. Znany radziecki badacz polskiego ruchu socjalistycznego A. M. Orechow — pisał kiedyś o jego książce o polskich socjalistach — opublikował garść ważnych listów Józefa Uziembły (1854-1918) o warszawskich kółkach społeczno-rewolucyjnych w 1878-1879 roku, które udało mu się odnaleźć w archiwum P. Lawrowa. Listów tych jest osiem — przynoszą one wiele nowych informacji m. in. o związkach z ruchem rewolucyjnym w Rosji. L. E. Wolkowicz w obszernym studium zajmuje się zagadnieniami teorii rewolucyjnej w polskich publikacjach socjalistycznych drugiej połowy lat 80 XIX w., S. M. Steckiewicz pisze o propagandzie so-

cialistycznej wśród robotników Królestwa Polskiego w latach 1893-1895, zaś B. J. Tabacznikow o ruchu strajkowym w Królestwie Polskim w latach 1910-1914.

Tyle wliczenia tytułów. Ale już to ukazuje nam, że badacze skupieni wokół Instytutu Słowiańszczyzny i Bałkanistyki AN ZSRR, zajmujący się historią Polski, ogarniają w swych studiach ogromny wachlarz problemów, że przede wszystkim interesują się dziejami polskich ruchów społecznych i politycznych w czasach nowożytnych i najnowszych. Prace z tego zakresu oparte są o nie znany w większości materiał źródłowy, czerpany z archiwów radzieckich, a nowe oceny, poglądy ogólne znajdują swoje uzasadnienie w nowych konstatacjach faktycznych. Nauka historyczna to ustawiczna dyskusja, która dotyczy ocen wydarzeń i procesów, ale dyskusja płodna tylko wówczas, kiedy nowe spojrzenie idzie w parze z ujawnieniem nowych materiałów.

LEKTOR

# ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), WIESŁAW JAŹDYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI (zastępca sekretarza redakcji).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, BERNARD SZTAJNERT.

Z pełniącym obowiązki rektora Uniwersytetu Łódzkiego — doc. dr hab. ROMUALDEM SKOWROŃSKIM rozmawia Tadeusz Szczepański.



— Uniwersytet Łódzki obchodził w tych dniach jubileusz 30-lecia swego istnienia. Jest to rocznica szczególnie uroczysta i bardzo istotna w życiu uniwersyteckim. Stwarza okazję do refleksji nad przeszłością, nad dorobkiem uczelni, nad jej perspektywami, a jednocześnie nad planami i możliwościami dalszego jej rozwoju. W Łodzi, mieście robotniczym, Uniwersytetowi przypadała rola szczególnie ważna. Miał stać się symbolem awansu społeczno-kulturalnego miasta, uczelnią przygotowującą inteligencję, miał stać się centrum naukowym i kulturotwórczym. W jakim stopniu nadzieje te zostały spełnione?

— Trzydzieści lat w historii wyższej uczelni to nie jest dużo. Brak tradycji akademickich nie sprzyjał pracy w pierwszych trudnych, powojennych latach. Dwa czynniki utrudniały rozwój: brak odpowiedniej bazy lokalowej; dla Uniwersytetu przeznaczono pomieszczenia stare, zaadaptowane do potrzeb uczelni wyższej i brak kadry akademickiej, którą musiano ściągać z całej Polski.

W ciągu swego istnienia UL wydał 26 000 dyplomów magisterskich, około 1 200 osób uzyskało stopień doktora i 200 osób zdobyło nabliżanie, a 900 osób ukończyło studia podyplomowe. W tym czasie naukowcy uniwersyteccy opublikowali blisko 30 000 prac.

— Oceniając dorobek Uniwersytetu Łódzkiego nie sposób nie zatrzymać się nad jego specyfiką naukowo-badawczą. Jakiego kierunku badań prowadzonych w UL zdobyły sobie najwyższy prestiż i uznanie w nauce krajowej i zagranicznej?

— Przede wszystkim trzeba stwierdzić, że wszystkie badania poznawcze są ważne. Można jednak dokonać selekcji, która pomoże w scharakteryzowaniu uczelni, gdyż nie ma na świecie takiej, w której wszystkie kierunki badań byłyby jednakowo reprezentowane.

Zaczynając od Wydziału Filologicznego, który w naszym tradycyjnym ujęciu stoi na pierwszym miejscu: badania koncentrują się tutaj w dwóch wielkich grupach — nauka o literaturze i językoznawstwo. Szczegółowe osiągnięcia odnotowuje tu dialektologia. Nie można jednak pominąć badań, które wiążą się z kulturą i sztuką. Myślę tutaj o badaniach teoretycznych — literackich, teatrologicznych, filmoznawczych i telewizyjnych, czyli o szkole prof. dr S. Skwarczyńskiej.

Na Wydziale Filozoficzno-Historycznym problematyka jest różnorodna. Tutaj z powodzeniem rozwijają się prace nad filozofią marksistowską. W zakresie nauk historycznych na czoło wysuwa się historia klasy robotniczej i polskiego ruchu robotniczego, a także historia przemysłu, historia Łodzi i rejonów jej pobliskich. Ważne są również prace archeologiczne, prowadzące od lat badania na Pomorzu, współorganizatorów spółkań i sympozjów archeologów krajów nadbałtyckich. Istotne problemy badawcze realizuje również łódzka etnografia. W chwili obecnej, kiedy jednym z najważniejszych zadań uczelni jest doszkadzanie kadry nauczycielskiej, duże znaczenie dla praktyki mają badania prowadzone w Instytucie Psychologii i Pedagogiki.

Wśród nauk ścisłych matematycy naszego ośrodka mają poważny dorobek w dziedzinie teorii funkcji, analizy funkcjonalnej i teorii prawdopodobieństwa. Do istotnych osiągnięć tego Wydziału należą badania prowadzone w Instytucie Fizyki przy współpracy z Instytutem Badań Jądrowych nad promieniowaniem kosmicznym. Badania te cieszą się dużym rozgłosem w ZSRR, Anglii, Francji i Stanach Zjednoczonych. Istotne osiągnięcia ma Instytut Chemii, zwłaszcza w zakresie ele-

ktrochemii, badań połączeń heterocyklicznych, a także połączeń metalo-organicznych. Ten Instytut jako jeden z pierwszych w uczelni potrafił połączyć badania poznawcze z badaniami aplikacyjnymi i było to pierwsze ryżcie z tradycyjnej działalności uniwersyteckiej i zbliżenie do form działania szkół o charakterze technicznym. Są to badania nad nowymi lekami i nowymi barwnikami.

Prowadzone od lat na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi badania pozwoliły na powstanie szkoły geomorfologicznej, stworzonej przez prof. dr J. Dylkwa i prof. dr A. Dylkwa, co przyniosło chwałę Uniwersytetowi Łódzkiemu na całym świecie. Trzeba też podkreślić dorobek mikrobiologów, a szczególnie zespołu wirusologów prof. dr B. Zablockiego. Znaczne osiągnięcia mają biochemicy, biofizycy i systematycy roślin.

uczelniami zagranicznymi były ostatnie uroczystości jubileuszowe, w których brało udział około 40 gości z zagranicy. W ciągu ostatnich 4 lat zaznaczył się bardzo intensywny rozwój naszych kontaktów zagranicznych, które wyrażają się obecnie w podpisywaniu bezpośrednich umów z różnymi uczelniami zagranicznymi. Bez przesady mogą zaryzykować twierdzenie, że właśnie w naszej uczelni wytworzył się wzorowy model umowy o bezpośredniej współpracy, który przyjmuje się w całej Polsce.

— Na czym polega model tej współpracy?

— Polega on na podejmowaniu wspólnej tematyki badawczej i wspólnych publikacjach, na organizowaniu wspólnych sympozjów i konferencji, na wymianie informacji naukowej, doświadczeń dydaktycznych i programowych, wymianie wykładów. Z uczelniami krajów socjalistycznych wymieniamy doświadczenia w pracy ideologicznej naszej organizacji partyjnej.

Umowy zawieramy nie tylko w skali uczelnia — uczelnia, zależy

Kilka dni temu podpisaliśmy umowę z Wyższą Szkołą Ekonomiczną w Bratysławie, a w przyszłości zarysowują się możliwości podpisania umów z Uniwersytetami Paris VI i Uniwersytetem w Kioto, w Japonii.

— Najważniejszym zadaniem dydaktycznym, które realizuje UL, jest sprośanie wymaganom reformy systemu oświatowego PRL, czyli wykształcenie ogromnej, wysoko kwalifikowanej kadry nauczycielskiej. Jak przebiega realizacja tego zadania?

— Oceniając tę kwestię właściwie można powiedzieć, że stworzyliśmy nową uczelnię, bowiem w tej chwili w murach uniwersytetu znalazło się — poza normalną rekrutacją na studia stacjonarne i zaoczne — ponad 2 500 czynnych nauczycieli. Liczba ta w ciągu nadchodzących 2 lat wzrośnie do ponad 4 000. Postawiło to przed uczelnią olbrzymie problemy — przede wszystkim kadrowe i lokalowe.

Do tego zadania we wszystkich uniwersytetach podchodzono z mieszanymi uczuciami, gdyż 4-letni program studiów dla pracujących nie rokował dobrych wyników u studen-

oni baczniymi obserwatorami. Jest rzeczą ważną, że daje się zaobserwować stały wzrost ambicji w uzyskiwaniu dobrych i bardzo dobrych ocen. Zniknęło przeciętniactwo, „stopień państwowy”, a pojawiła się konkurencyjność w zdobywaniu coraz lepszych ocen.

— Wydaje się, że nie bez znaczenia jest tutaj nowy system stypendialny.

— Oczywiście, że bodźce ekonomiczne odegrały swoją rolę, ale nie tylko to. Dzięki zasadzie współpartnerstwa młodzież czuje, że traktujemy ją jak dorosłych, jak równych partnerów. Mamy coraz więcej dyplomów z wyróżnieniem, a poza tym odnotowujemy z satysfakcją wzrost działalności kół naukowych w Uniwersytecie, co sprzyja temu procesowi.

— Zmodernizowany tryb studiów zmienia przecież w bardzo radykalny sposób przebieg do tej pory sposób zdobywania wiedzy.

— Studia indywidualne nie są odkryciem ostatnich lat. Ten typ studiów w sposób niesformalizowany istniał już przed wojną. Często odnoszę wrażenie, że my te studia chcemy właśnie zbyt sformalizować, a tymczasem sprawa jest dość prosta, ponieważ obowiązkiem każdego nauczyciela akademickiego jest zapewnienie wyjątkowej opieki naukowej wybijającym się studentom. Nie chodzi tutaj o to, aby ten student wcześniej skończył studia, ale o studia bardziej pogłębione i ściślej związane z kierunkiem jego zainteresowań.

— W kwietniu br. władze uczelni zorganizowały konferencję poświęconą planom i perspektywom rozwoju Uniwersytetu do 1990 roku. Jak w świetle tego spotkania rysuje się koncepcja rozwoju Uniwersytetu Łódzkiego, jakie główne cele naukowe, dydaktyczne, organizacyjne, a także inwestycyjne wyznaczają bliską przyszłość uczelni?

— Konferencja ta poprzedzona wstępnymi pracami półrocznymi dała nam pewną ideę przyszłego kształtu tego Uniwersytetu. Obecnie opracowujemy dokument, który będzie naszym drogowskazem w dalszej działalności. Musimy stworzyć inny model uniwersytetu. W ciągu ostatnich trzech lat nastąpił olbrzymi wzrost liczby studentów, który w ciągu najbliższych dwóch lat jeszcze się powiększy. Jednakże ten wzrost nie idzie w parze ze wzrostem kadry i poprawą bazy lokalowej. Dlatego w najbliższych latach w interesie uczelni nie leży powiększenie liczby studentów na różnych typach studiów, natomiast główny wysiłek będzie koncentrował się na jakości procesu nauczania, na poprawie jego efektywności, modernizacji dydaktyki, wypracowaniu nowego profilu absolwenta lepiej przygotowanego do potrzeb szybkiego rozwoju kraju, jak również na bardziej intensywnym kształtowaniu postaw moralno-ideowych.

Zmiany form działalności uczelni zaznaczają się również w szerszym niż do tej pory wprowadzaniu badań aplikacyjnych. Jeżeli w 1970 roku mieliśmy tzw. zerob z tego tytułu w wysokości 4 milionów zł, to w roku bieżącym wzrósł on do 40 milionów; przewidujemy, że w 1990 roku wyniesie on blisko 250 milionów. Naszą ambicją jest jak największy udział w problemach naukowych związanych z potrzebami kraju i regionu. Sprzyja temu również przejście uczelni na nowy system nauczania, który stwarza możliwość uzyskiwania odpowiednich środków. Ta kwestia łączy się z koniecznością wypracowania innej metodyki badań, innej struktury instytutów i zakładów, które będą zaangażowane w badania aplikacyjne, tworzenie zespołów interdyscyplinarnych czy międzywydziałowych, np. dla pracownika konkretnego zagadnienia badawczego. To wymaga wprowadzenia zupełnie nowych form działalności naukowej niż dotychczas stosowane, skupiające się niemal wyłącznie na badaniach pozamawczych.

Jednakże najważniejszym problemem pozostaje problem kadry. Do roku 1990 kadra naukowa musi wzrosnąć trzykrotnie, aby sprośać zadaniom nauczania 25–30-tysięcznej rzeszy studentów, której spodziewamy się w tymże roku jako już nieprzekraczalnego maksimum. Uwazamy bowiem, że ponad tę granicę Uniwersytetu powiększać nie należy. Spodziewamy się natomiast koniecznego wzrostu pomocniczej kadry naukowo-technicznej. Do badań aplikacyjnych natomiast należy zaangażować pracowników naukowo-badawczych, których liczba w 1990 roku winna stanowić jedną trzecią ogółu pracowników naukowych. Bez względu na warunki sprośania nowym zadaniom uczelni jest zdecydowany wzrost bazy lokalowej. Dysponujemy perspektywicznym planem rozwoju inwestycji, ale bardziej efektywną poprawę uczelnia osiągnie dopiero w latach 80.

## 30 LAT



26 maja 1975 roku odbyło się uroczyste posiedzenie Senatu Uniwersytetu Łódzkiego, w którym uczestniczyli między innymi: przewodniczący Rady Państwa — prof. dr HENRYK JABŁOŃSKI minister nauki, szkolnictwa wyższego i techniki — prof. dr S. KALISKI, przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych Łodzi z I sekretarzem KŁ PZPR — B. KOPERSKIM i prezydentem — J. LORENSEM oraz przedstawiciele zagranicznych wyższych uczelni współpracujących z UL. W czasie uroczystości posiedzenia Senatu UL nadano tytuły doktorów honoris causa znakomitym uczonym: prof. dr H. JABŁOŃSKIEMU i radzieckiemu fizykowi, laureatowi nagrody Nobla — prof. dr I. M. FRANKOWI.

Na Wydziale Prawa i Administracji rozwijają się badania nad teorią państwa i prawa, działalnością rad narodowych i ustrojami państwowymi. Istotne badania prowadzi się w zakresie prawa karnego, doskonalenia systemu prawa w PRL, problemom prawnym-finansowym w planowaniu gospodarki narodowej. Praca prof. dr J. Wróblewskiego pt. „Sądowe stosowanie prawa” została wpisana do Księgi Czynów i Osiągnięć Nauki Polskiej.

Na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym badania skupiają się w dwóch grupach: nauk ekonomicznych i nauk socjologicznych. W ramach socjologii istnieje łódzka szkoła socjologiczna, która kontynuuje badania prof. J. Chalasińskiego i prof. J. Szczepańskiego i tutaj trzeba szczególnie wyróżnić badania prowadzone pod przewodnictwem prof. dr A. Kłoskowskiej, cieszące się wysokim autorytetem w kraju i za granicą. Wśród badań ekonomicznych należy wyróżnić ekonometrię, badania dotyczące metod organizacji i zarządzania, badania nad strukturami i funkcjonowaniem wielkich organizacji społecznych i gospodarczych. Prace prof. dr hab. Władysława Welfe („Średniookresowy model gospodarki polskiej”) i prof. dr Antoniny Kłoskowskiej („Społeczne ramy kultury”) zostały też wpisane do Księgi Czynów i Osiągnięć Nauki Polskiej.

— Obecnie w ogromnej cenie są kontakty zagraniczne. Nadane z okazji 30-lecia doktoraty honoris causa uczonym zagranicznym są oczywiście oznaką żywych związków uczelni z ośrodkami zagranicznymi.

— Wydaje się, że najlepszym świadectwem naszej współpracy z

nam również na zawieraniu umów między odpowiednimi wydziałami, a także — to bardzo istotne — między instytutami. Bowiem współpraca zagraniczna między instytutami stanowi najdogodniejszy i najbardziej konkretny szczebel współpracy.

— Z kim Uniwersytet Łódzki współpracuje?

— Do najważniejszych należy wszechstronna współpraca z Uniwersytetem w Tbilisi w Związku Radzieckim, która szczególnie dotyczy badań nad historią walki przeciwko hitlerowskiemu Niemcom. Współpracujemy także z Uniwersytetem Moskiewskim w zakresie badań fizycznych nad promieniowaniem kosmicznym. W ramach współpracy instytutowej rozwija się wymiana z Iwanowskim Instytutem Chemiczno-Technologicznym. Dotyczy ona problematyki chemicznej ważnej dla przemysłu tekstylnego.

Nawiązaliśmy również współpracę z Uniwersytetem im. Karola Marksa w Lipsku w zakresie nauk ekonomicznych oraz z Wyższą Szkołą Techniczną w Karl-Marx-Stadt, gdzie interesują nas badania nad kształceniem politechnicznym i metodyką nauczania języków obcych.

Bodaj najbardziej wszechstronna jest umowa z Uniwersyteciem im. Józefa Attili w Szegedzie, obejmuje ona m. in. nauki prawne, ekonomiczne, biologiczne.

Współpracujemy również z uniwersytetami francuskimi, by wymienić umowę z Uniwersyteciem w Aix-Marseille (geografia, przemysł i gospodarka morskiej), a przede wszystkim umowę z Uniwersytetami Lyon I i III.

tów-nauczycieli, którzy często dawno temu zdobyli wykształcenie zawodowe i nie mieli kontaktu z nowymi zdobyczami nauki. Należało bardzo precyzyjnie przygotować siatkę zajęć, wykorzystać możliwości lokalowe. Proces dydaktyczny na tego typu studiach wymaga innej, niż ogólnie stosowana, dydaktyki prowadzenia zajęć, dużego doświadczenia od pracownika naukowego, chodzi bowiem o umiejętnie sterowanie procesem samokształcenia.

— Jak Pan Rektor ocenia w tej chwili rezultaty tej masowej akcji?

— Wyniki nauczania, jakie osiągamy na niektórych kierunkach, są wyższe niż średnie krajowe. Warto tu podkreślić również wyjątkowo dobrą atmosferę, jaka panuje na tych studiach, a tak potrzebną nauczycielom, którzy muszą godzić pracę zawodową z nauką.

— Przemiany, które rewolucjonizują uniwersytety na całym świecie, polegają przede wszystkim na zwiększeniu uczestnictwa młodzieży w życiu uczelni. Skala tego uczestnictwa jest bardzo szeroka: od modernizacji programów i metod nauczania, poprzez rozwój studenckiego ruchu naukowego, aż po partnerski udział organizacji młodzieżowej w kierowaniu uczelnią. Jak Pan Rektor ocenia pod tym względem sytuację w Uniwersytecie Łódzkim?

— W momencie, kiedy powstała jedna organizacja studencka, współpraca z młodzieżą stała się łatwiejsza, ponieważ mamy do tej współpracy jednego partnera. Młodzież uniwersytecka jest inteligentna i krytyczna; są to ludzie zaangażowani i są

Dalszy ciąg za str. 1

Przygotowania do XII etapu XXVIII Wyciągu Pokoju zaczęły się przed rokiem. Niemal zaraz po zakończeniu XXVII Wyciągu Pokoju, kiedy już znana była trasa następnego. Powołano wtedy KOMITET ETAPOWY XXVIII MIĘDZYNARODOWEGO KOLARSKIEGO WYCIĄGU POKOJU. Przewodniczącym tego komitetu został I sekretarz KŁ PZPR — Bolesław Koperski. Sekretarzem — Witold Krajewski. W przygotowaniach do XII etapu XXVIII WP brało udział przeszło 400 osób. Poszczególne drużyny wyznaczone opiekunów. Na przykład drużyną polską w Łodzi opiekowała się „Wifama”, NRD — ZPB im. St. Dubois, ZSRR — ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex”, drużyną Norwegii — WZPB 1 Maja, Hiszpanii — LZPB im. Obróńców Pokoju „Uniontex”.

Puchary dla zwycięzców łódzkiego etapu przygotowała HSG „Hortensja” w Piotrkowie Trybunalskim. Stacja Sanitarно-Epidemiologiczna miała obowiązek dopilnowania czystości na trasie wyciągu i w miejscach zakwaterowania kolarzy. Wzdłuż trasy, którą mieli jechać kolarze rozmieszczono 20 punktów sanitarnych, na stadionie czuwała ekipa lekarzy, a w Szpitalu im. M. Kopernika 4 miejsca czekały na ewentualnie chorych kolarzy. Na szczęście odbyło się bez wypadków.

W tym roku kolarze mieszkali w Arturówku, w domu wypoczynkowym wólcniarzy „Przańniczka”, gdzie mieli zapewniony spokój, a mechanicy odpowiednie pomieszczenia, aby nie musieli niszczyć stołów „Grand Hotelu” jak to uprzednio bywało. Do stołów tych bowiem przykręcili rowery, przygotowując je do startu w następnym dniu.

Na stadionie — tak jak we wszystkich miastach etapowych — czekają na kolarzy młodzi opiekunowie. Są to uczniowie łódzkich szkół średnich, harcerze. Na Ryszarda Szurkowskiego czeka Jan Czerniak, uczeń XXVI Liceum Ogólnokształcącego, najlepszy sportowiec szkoły.

Godz. 14.00 — rozpoczyna się powitanie kibiców zgromadzonych na stadionie LKS. Przy mikrofonie dziennikarze Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia: Arnold Borowik i Zbigniew Wojciechowski. Muzyka, informacje, życzenia dla kibiców, zalecenia porządkowe.

Godz. 14.35 — jeden z kibiców został. Lekarze udzielają pierwszej pomocy.

Godz. 14.50 — Arnold Borowik myli się zapowiadając czas. Zamiast powiedzieć: godz. 14.50, mówi 16.50. Wszyscy spoglądają na zegarki. Kolarze są już od 4 minut na trasie.

Godz. 15.00 — rozpoczyna się mecz drugoligowych drużyn piłkarskich RTS Widzew i Zawiszy Bydgoszcz.

Godz. 15.15 — ppłk Mieczysław Kowalczyk wybiera się na trasę wyciągu. Razem z Włodzimierzem Parysem zabieramy się milijnym samochodem.

Wokół stadionu LKS, na skrzyżowaniach ulic gromadzą się już kibice. Jedziemy ulicami: Krzemieniec-

ką, Krakowską, Rąbieńską, Traktową, Aleksandrowską aż do Aleksandrowa. Wszędzie nastrój majówkowy. Ludzie wynoszą stołeczki, składane krzeselka, chłopcy zajmują miejsca na dachach, rusztowaniach.

stadionie widać tylko fragment tego, co dzieje się na XII etapie XXVIII WP.

Godz. 15.30 — sprawozdawcy radiowi informują, że Ryszard Szurkowski zdobył w Turku 5 sekund

lowa meczu Widzew-Zawisza.

Godz. 16.15 — Mały Wyciąg Pokoju „Dziennika Łódzkiego” wjechał w granice Łodzi. Ulice jeszcze bardziej opustoszały. Na trasie przejazdu kolarzy coraz więcej ludzi.

BOGDA MADEJ

# ZAPIS PIĘCIU GODZIN



Fot. Włodzimierz Parys

Pod Aleksandrowem pozajmowano już miejsca leżące w rowach. Aleksandrów skorzystał z przejazdu kolarzy przez miasto, bowiem ulice, którymi mieli jechać otrzymały asfaltową nawierzchnię. Mieszkańcy Aleksandrowa tłumnie wylegli na trasę, można przypuszczać i po to — aby wyrazić swą wdzięczność uczestnikom XXVIII WP.

W Łodzi tymczasem pustoszeją ulice. Nie przypomina to wprawdzie pustki z czasów, kiedy nasza narodowa jedenastka walczyła o srebrny medal, ale robi się przestronniej. Za to w tramwajach i autobusach tłok. I to nie tylko w tych, które jadą w stronę stadionu LKS czy Teofilowa, ale również w tych, które jadą w kierunku Dąbrowy, Zarzawa, Dolów, Chojen, Pablianickiej. Ludzie śpieszą do domów, aby zasiąść przed telewizorami. Na małym ekranie dokładnie bowiem można obserwować walkę kolarzy przed wjazdem na stadion. Na trasie, czy na samym

bonifikaty za lotną premię, zajmując pierwsze miejsce.

W kinach „Przedwiośnie” i „Wólcniarz” seanse rozpoczęły się o godz. 14.30 i filmy „Brytanic w niebezpieczeństwie” i „Joe Kadd” wyświetla się zaledwie dla kilku widzów. Tak samo będzie i na seansach o godz. 17.00.

W Izbie Wyrzeźwien do godz. 13.00 zanotowano 5 „pacjentów”. Spokój. Ruch znacznie się dopiero po godzinie 18.00.

Spokój panuje też u dyżurnego oficera Komendy Miejskiej MO. O godz. 15.45 przychodzi meldunek, że Jeremu K. skradziono rower marki „Sokol-Lux”, wartości 2 000 zł.

Godz. 16.00 — sprawozdawcy radiowi informują, że kolarze zbliżają się do Poddebic, gdzie jest druga lotna premia. Na stadionie LKS odbyło się już wiele ciekawych imprez. Wyłądowali spadochroniarze Aeroklubu Łódzkiego, odbył się pokaz modeli latających. Rozpoczęła się druga po-

Godz. 16.30 — rozpoczyna się telewizyjna transmisja z XI etapu XXVIII WP, rozegranego na trasie Stawiszyn — Konin. Telewizja pokazuje jazdę Stanisława Szozdy, Tadeusza Mytnika i Ryszarda Szurkowskiego.

Godz. 16.45 — telewizja podaje kolejny meldunek z trasy. Wszyscy jadą razem. Na stadionie ostatnie przygotowania do przyjęcia kolarzy. Zakończył się już mecz między Widzewem a Zawiszą z Bydgoszczy. Widzew pokonał bydgoską drużynę 2:0.

Godz. 16.52 — na stadionie ustawia się podium dla zwycięzców. Obok tablicy wyników leżą białe, wąskie tabliczki z wypisanymi numerami startowymi zawodników i ich nazwiskami. Na samej górze tabliczka z napisem: „S SZURKOWSKI”. Wszyscy oczekują, że Ryszard Szurkowski będzie pierwszy na mecie w Łodzi. Kolarze mijają Kochanówkę.

Godz. 16.55 — telewizja informuje,

że do mety pozostało jeszcze 9 km. Około 250 m przed peltonem jedzie grupa zawodników. Obraz zaczyna przekazywać kamera zainstalowana na helikopterze. Przewaga czołwki zwiększa się do 600 m. W czołówce jedzie Stanisław Boniecki.

Godz. 17.00 — do mety pozostało 5 km. Na czwartym kilometrze do mety przewaga czołwki zmniejsza się do 300 m.

Godz. 17.05 — do mety pozostało tysiąc metrów. Hiszpan S. Suarez próbuje ucieczki. Pelton zmniejszył przewagę do 100 m.

Godz. 17.08 — zwyciężą Stanisław Boniecki. Na stadionie podnosi się ogromny ryk kibiców, którzy witaują na cześć zwycięzcy. Stojący obok Włodzimierza Parysa fotoreporter krzyczy i wita tuje nieprzytomnie. Potem nachylając się do jego ucha pyta:

— Kto był pierwszy?

— Stanisław Boniecki! — odkrzykuje Włodzimierz Parys, sprawdzając na tablicy wyników.

Do zwycięzcy zbliżają się łódzcy kominiarze, aby mu pogratulować. Stanisław Boniecki zostaje honorowym kominiarzem Łodzi. Kominiarze chodzą po płycie stadionu nie mniej dumni niż zwycięzca.

Godz. 17.18 — rozentuzjamentowani kibice wybiegają gromadą na płytę stadionu. Powiewają sztandarami i transparentami. Milicja powoli zaprowadza porządek. Triumfatorzy XII etapu XXVIII WP rundę honorową przejeżdżają szczerze otoczeni grupą kibiców. Włodzimierz Parys, który znalazł się akurat w samym centrum biegnących kibiców, zwierzy się później, że w wizjerze aparatu widział tylko szybko migające twarze. Bał się, że go stratają, ale mimo strachu robił zdjęcia.

— Takich twarzy — powiedział — nie uda mi się drugi raz sfotografować.

Godz. 17.25 — stadion pustoszeje. Kolarze odjeżdżają do Arturówka. Arnold Borowik wzywa orkiestrę łącznościowców, aby ostro dęła w państwowe trąby.

Godz. 18.00 — stadion już pusty. Tylko chłopcy z workami zbierają butelki po wodce i winie. Towarzyszy im starszek z solidnie wypchaną butelkami torbą. Przed bramą stadionu kibice czekają z pocztówkami na autografy. Nie doczekają się, bo kolarze już odjechali.

Miasto powraca do normalnego życia. Do Izby Wyrzeźwien trafia pierwszy, popołudniowy „pacjent”. Za nim pojawił się 31 następnych, w tym 4 kobiety. W kinach już normalna frekwencja.

Tego dnia straż pożarna dwa razy jeździła do pożaru. Raz o godz. 16.25 na ulicę Bednarską, gdzie palily się śmieci i drugi raz o godz. 22.53 kiedy trzeba było gasić pożar w kuchni, bo gospodyni, uczując widocznie po zwycięstwie Polaka, zapomniała o mięsie smażącym się w garnku.

W „Przańniczce” kolarze spożyli kolację, odebrali nagrody i położyli się spać.

Następnego dnia spotkania z patronackimi zakładami, przygotowania i start do ostatniego etapu. Z Łodzi do Warszawy.

## OKO NA GOSPODARKE

### NIE TYLKO dla TURYSTÓW

Tym razem proponuję PT Czytelnikom zmianę przedmiotu zainteresowania i — jak osobście sądzę — nie jest to tylko odmiana w sensie geograficznym. Sezon turystyczny rozjazzdów — nie tylko po rodzinnym kraju — tuż, tuż, a powiedzmy sobie otwarcie, choć może ktoś się w tym miejscu obruszy, że jeżeli jesteśmy na ogół dobrymi obserwatorami oraz „rachmistrzami” na własnym podwórku, to w przypadku odleglejszych wioży nasze wrażenia zbyt jeszcze często przypominają „wyllanę” kolorową pocztówkę, którą z podziwieniem i wysłaniem znajomym w kraju, a nie obywatelom rzeczywistości. A sądzę, że warto zdawać sobie z niej sprawę, włączyć w znajomość współczesnego świata, który tylko wtedy jest zwycajnie bardziej prawdziwy.

Tutaj pewna — wydaje mi się — wcale nie marginesowa uwaga. Otóż, każdy turysta czy chce czy też nie chce, styka się z taką kategorią ekonomiczną, jaką jest cena. Ma ona swoją tak oczywistą wymowę, że zwałniamy to z dalszego uzasadnienia wroboru. Natomiast co innego trzeba chyba wyjaśnić. Otóż, będąc tuż po służbiwej publikacji, która już tradycyjnie każdego roku pojawia się w lon-

dyńskim „Financial Times”. Dokonuje on mianowicie niezmiennie interesującego zestawienia cen na najważniejsze produkty i wyroby, a także usługi, tak jak one kształtowały się w różnych miastach naszego globu w minionym roku. Ale nie tylko dlatego sięgnęliśmy właśnie po „Financial Times” — było to organ brytyjskiej finansjery. Kierowaliśmy się może nawet przewrotnym, ale wartym zachodu założeniem: jak to właśnie ONI widzą i oceniają pewne zjawiska ekonomiczno-społeczne. I nie jest to tylko wygodne wyrażenie się.

A teraz — ad rem, czyli do rzeczy. Zaczynam od tak zwanego KOSZYKA ŻYWNOSCI, na który według autorów omawianego opracowania składa się 1 kg wołowiny, 2 kg drobiu, 12 jaj, 1 kg ryżu, 1 kg masta, 1 litr oliwy, 1 kg cukru, 1 kg chleba, 5 dkg kawy, po litrze wina, piwa i mleka. Otóż jego cena była najniższa w Belgradzie, 18 dolarów, dalsze miejsca zajmowały takie miasta jak Nowy Delhi — 21 dol., Rzym — 22 dol. Drożej było w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku — gdzie taki „koszyk” kosztował 26 dolarów, jeszcze więcej trzeba było na niego wydać w Wiedniu i Tokio — po 31 dolarów, naj-

drożej w Bonn, Zurychu, Sztokholmie, gdzie jego cena grawitowała między 41 a 50 dolarami.

Nie jestem jednak pewny, czy takie pojęcie jak „koszyk żywności” jest akurat tym, co może „przemówić” do każdego z nas. Może więc lepiej zaopiniować ceny, tak jak się one kształtowały w roku 1974, na poszczególne towary powszechnego użytku, bądź też typowe usługi, z których korzysta np. turysta.

No więc powiedzmy — wchodzimy do sklepu i chcemy sobie zaopiniować UBRANIE. Do tego — aby był już kompletny — dołączmy jeszcze parę BUTÓW oraz KOSZULĘ. Najtaniej taki sprawnik wypadłby nam w Nowym Delhi i Belgradzie — 94 i 99 dolarów, ale w Londynie musielibyśmy już zapłacić 181 dolarów, w Rzymie — 185, Sztokholmie — 221, Paryżu — 280, a w Nowym Jorku — 293 dolary.

A teraz kolej na „używk”. Więc dla przykładu PAPIEROSY, 20 sztuk, możliwe najlepszych, miejscowych, kosztowało najmniej w Hong-Kongu, bo 21 centów, w Belgradzie już 35 centów, Rzymie — 53 centy, Tokio — 56 centów, Londynie — 87, Bonn — 96 centów. Najdrożej przyjemność wonnego „dymku” kosztowała w ubiegłym roku palacza mieszkającego bądź przebywającego w Sztokholmie — 145 centów. A, że my, Polacy, nie lubimy wylewać za kolnierz, więc ile też mógł kosztować w ubiegłym roku 1 litr średniej klasy szkockiej WHISKY? Spece z „Financial Times” i to obliczyli. A więc — w Londynie 5 dolarów, w Bonn — 7 dolarów, w Nowym Jorku — 8,2 dolara, Paryżu — 9,6 dolara, Tokio — 9,3 dolara. Najgorzej powodziło się a-

matorem tego trunku w Sztokholmie i New Delhi, gdzie za litr whisky trzeba było wypłacić 20,1 i 30 dolarów.

Turysta, a w ogóle współczesny człowiek, to z reguły osobnik ruchliwy, używający rozmaitych środków lokomocji, własnych oraz nazwijmy to tak — ogólnie dostępnych. Musi więc nabywać BENZYNĘ do samochodu bądź motocykla, względnie BILET na środki komunikacji publicznej. Jeśli chodzi o ten pierwszy produkt, to litr 98-oktynowej benzyny kosztował najmniej w Bejrucie i Nowym Jorku — 12 i 16 centów, dużo drożej w Sztokholmie — 34 centy, Tokio — 35 centów, Londynie — 37 centów, a najwięcej w Rzymie — 45 centów. No, ale nie każdy ma samochód, więc taki wydatek, jak na bilet komunikacji, to prawie rzecz konieczna. Ile to kosztowało? Bilet, tzw. okresowy, 3-miesięczny, uprawniający do przejazdów na odległość do 30 mil był najtańszy w Brukseli — kosztował 30 dolarów, w Rzymie — 49, Paryżu — 50, Londynie — 143 i Bonn — 168 dolarów.

Może też zaplanujecie sobie jakiś wesełszy wieczór z kolacją (trzydanioową, jak to skrupulatnie podaje „Financial Times”) w dobrej restauracji, dla czterech osób. No więc weźcie pod uwagę, że takie „WIECZOROWE WYJSCIE” kosztuje w Belgradzie 41 dolarów, Londynie — 76, Rzymie — 94 dolary, w Bonn — 144, a w Nowym Jorku — 179 dolarów. Dla orientacji podajemy też ceny pokoju hotelowego, z łazienką, oczywiście licząc za dobę: Belgrad — 12 dolarów, Londyn — 53, Paryż — 85 dolarów.

Brytyjscy koledyzy po piórze wyreczyli mnie również w jeszcze jednym, bardzo

ważnym obowiązku, a mianowicie podsumowania ewentualnych wydatków obejmujących i ów „koszyk żywności”, 5 dób hotelowych, 3 „wyjścia wieczorne”, 90 litrów benzyny, 2 butelki whisky, 100 papierosów oraz jeszcze parę innych drobiazgów i wyszło im, że najdrożej było w Paryżu, a najtaniej w Belgradzie. To już pocieszające...

Liczby, liczy, liczy — a ja dosko-nale wiem, że brakuje Wam odpowiedzi na jeszcze jedno, ale niezmiernie istotne pytanie: — Jak się te ceny mają do zarobków?

„Financial Times” — znowu go cytuję, by być konsekwentny — przyjął za typowe, przeciętne tygodniowe zarobki sekretarki, mającej 21 lat, 3 lata praktyki w zawodzie, znającej, to w pewnym sensie oczywiście, język angielski, maszynopisanie i stenografię. Otóż, taka „sila sekretariatowa”, jak byśmy to powiedzieli, otrzymywała za tydzień swojej pracy: w Nowym Jorku — 8 dolarów, Kairze — 45 dolarów, Londynie — 99 dolarów, Paryżu — 130 dolarów, Sztokholmie — 140 dolarów, Bonn — 182 dolary i w Brukseli — 203 dolary.

Prawda, że niezmiernie ciekawe to liczby i warte uwzględnienia w kolorowej pocztówce? Chyba tak i nie sądzę, by potrzebny był tutaj jeszcze jakiś inny komentarz.

KRZYSZTOF POGORZELEC

\*) Wszystkie przeliczone w dolarach USA. Dane za tyg. „Życie Gospodarcze”.

Dalszy ciąg ze str. 1

Kto nie boi się szmiry, ten powie, że od zbiorów archeologicznych technie w podziemiach muzeum przeszłości. Trudno sobie uzmówić, iż tę samą trzymaną w ręku drewnianą grzechotką bawiło się dziecko przed tysiącami lat.

Archeolog wdrapuje się na drabinę i wyciąga ze skrzynki haczyk do wędk. Taki sam, jak dzisiejsze: sklepiany w miejscu do zaciągnięcia linki, z zębem kotwicznym przy ostrzu, ale za to pięć razy większy. Ładne sumy musiały płynąć wówczas w Warcie. Nie wiadomo jednak, komu włożono go do grobu: rybakowi, rzemieślnikowi, kupcowi?

W archeologii same kryminały. W mogiłach głowy odwrócone od tulo-wia, głowy zł.żone między nogami, polamane nogi, podłożone pod głowę. Sztylet w żebrach już nie jest zagadką.

Albo te żelazne kotwiczki z trzema bolcami. Jakby taką nie rzucił, zawsze jeden boliec będzie sterceć do góry. W czasie ostatniej wojny identyczne kotwiczki rzucano pod samochody w celu przebicia opon i dętek. Struktura metalu i warstwa gruntu dowodzą, że kotwiczki pochodzą sprzed tysiąca lat. Do czego wówczas służyły?

2.

Legenda legenda, a zbiory archeologiczne Muzeum Ziemi Wieluńskiej to również skarby wydarte ziemi. Tylko, że ich wartość jest niewymierna. Tym się nie handluje. Jak zresztą porównać wartość kawałka mydła z Oświęcimia z unikalnym w kraju materiałem ceramicznym, przy oglądaniu których drżą ręce archeologów, odwiedzających Wieluń?

Ale pochwalic się można. Cmentarzisko kurhanowe (3400 lat) w Okalewie ze śladami orki radiowej, sztylet z Lubnie (leżał wyorany na polu), jedyny w Polsce. W Stroninie osada słowiańska z przełomu I i II w. n.e. W wyniku dalszych badań może się okazać, iż jest to jedyna w kraju słowiańska osada obronna z tamtego okresu.

We wspomnianym już kurhanie z II w. w Konopnicy znaleziono trzech zmarłych i stos, ale wyposażenie nie spalone, o nieznanym dotąd pochodzeniu hellenistycznym. Najcenniejsza jest jednak ceramika z Rzymu oraz ta z glazurą rzymską.

Na tym tle o wiele skromniej prezentują się zbiory etnograficzne. Nie dziwota zresztą, skoro do roku 1970 ludzie na różnych szczeblach nie mieli czasu zaprzętać sobie głów jakimiś tam etnografiami. Nie było takiego dziwaczności etatu i kropka.

Pani **BOGUSŁAWA WILUS** wychodzi na taras. Hula zwirowane wietrzyko, mgr Wilusiowa przytrzymuje ondulację, zatyka usta.

— Psiakrew, ale dmucha! Aż dasek ściągnęło z jednego ula.

Na razie kilka eksponatów, plecionych i drażonych, ale jest jeszcze wiele uli figuralnych, pani etnograf je znajdzie i utworzy skansen pszczelarski. Od 70 roku chodzi po wsiach, grzebie na strychach i co może, to ściga. A niewiele może, bo od wojny do 1970 roku wiele rzeczy uległo zniszczeniu. Są też ludzie nieufni, którzy boją się na etnograficzną rewizję w chatupie.

Dziewiątego marca, po czterech latach zbieractwa, otwarto wystawę.

Na wystawie ciężki zapach dziegciu i smoly, ponieważ eksponaty zgromadzone wokół odpowiednio zakonserwowanej, zakupionej w Obrowie chalupy z połowy 19 w., tzn. jej frontowej i szczytowej ściany, ale z podłogą i niemal kompletnym wyposażeniem wnętrza, łącznie z dziełkami, łopatom i do wypieku chleba, pokazań kołyską i malarstwem częstochowskim na papierze. Nad chałupą wiszą sieci, bo przed wojną w Zawodziu żyli jeszcze autentyczni rybacy.

Z co ciekawszych narzędzi gospodarczych warto wymienić cudaczną maszynę do czyszczenia ziarna, jazyrno kablakowe ze wsi Załęcze, czy

czy ją po raz pierwszy i przeżył głębokie wzruszenie. Żył tak blisko Wielunia, a nie wiedział, iż to miasto może być tak stare. Przypomniały mu się lekcje historii, czasy piastowskie, Kazimierz Wielki, lecz to, co widział teraz, było najpiękniejszą lekcją — stał u bram królewskiego miasta.

To chyba zdecydowało, że **Tadeusz Olejnik**, od dzieciństwa mortu-sem gniebiony, po blisko czterdziestu stał się posiadaczem największych skarbów w Wieluniu. Ale najpierw było liceum pedagogiczne, w tym okresie jeszcze szkoła typowo plebejska, najbardziej dostępna dla chłopskich synów. Mieściła się w

podczas zjazdu absolwentów liceum pedagogicznego i na zjeździe historyków regionalistów.

4.

— Czekano z otwarciem muzeum do 1964 roku. Tymczasem tuż po wojnie uległo dewastacji wiele dobra podworskiego, toteż z początku nie wiadomo było, za co się chwycić. Musiałem jednak argumentować istnienie muzeum zbiorami. Jeszcze jako szef Domu Kultury wydzieliłem na ten cel jeden pokój i kiedy w Masłowie podczas budowy remizy natrafiono na cmentarzysko łużyckie z V w., natychmiast tam pojechałem. Urny znalazłem w szkole. Do największej wpakowałem te mniejsze i do przystanku. Autobus mignął nie zatrzymując się, a tu styczeń, mróz i śluzawica. Siedłem siedem kilometrów, trzymając te skorupy przed sobą, pot lał się po tyłku, a rękami to przez tydzień nie mogłem ruszyć.

Później dostałem z powiatu 10 tysięcy, jakieś nadwyżki z czegoś tam, które w ciągu dwóch dni należało wykorzystać, żeby nie przepadły. Usłyszałem, że w Kurowie są stroje ludowe, wełniaki. Aby zyskać na czasie, puściłem się na poprzyki, przez pola, ale trafiliem na niemożliwy do przebycia kanał z wodą, trzeba było wracać dwa kilometry, ale wełniaki kupilem.

W nocy z 18 na 19 marca 1965 roku zawiła się w czasie robót konserwatorskich **Brama Krakowska**. Rany boskie, jaka wtedy się kolo-bujala z koncepcjami różnymi roz-bujala! A co dalej, a jak, kto i za ile? Ostatecznie, rekonstruuje formę, postawiono nową bramę.

Różni ludzie z całej Polski zjeżdżali do Muzeum, a na placu przed budynkiem brud i kupy śmieci. Władze palcem nie tkną, bo plac jest własnością prywatną. Wyciągnąłem zaświadczenie z geodezji, że jednak należy do miasta. Urzędnicy, że wobec tego jest to plac składowy dla budowniczych Bramy Krakowskiej. Jako członek Komisji Kultury sporządziłem protokół, w którym stało jak byk, że budowniczym plac jest niepotrzebny. Z drugiej strony wysypywano śmieci z kamienicy, nawet drogi nie było, więc ze skromnych funduszy Muze-

**RYSZARD BINKOWSKI**

## CIUŁACZE STARYCH TROPÓW

też prasę do wyciskania sera i miodu, zbijaną na kliny.

Wilusiowa martwi się, że ginie folklor. Znalazła jeszcze stroje kobiece, lecz wieluński strój męski zaginął. Jedyna autentyczna kamizela leżała nie używana od 1920 roku. W poszanowaniu leżała, bo właściciel żył jeszcze. Dobrze, że ksiądz z **Chotewa** nagonił kobiety do uszycia czterech kapot, które wypożycza chłopom do procesji w Boże Ciało i muzykantom z kapel ludowych.

Są jeszcze wykonywane ręcznie czepecie, ale ostatnia, najzdolniejsza koronczarka, **Antonina Froniowa**, zmarła w wieku 90 lat. Do ostatniej chwili robiła czepecie bez okularów...

Rzeźbi w drzewie jeden diadek. Cieszy to, że młody chłopak podparzył starego i prześcignął w rzemiośle. Kowali artystycznych miało już nie być, a tymczasem na konkurs dla twórców ludowych napłynęły przepiękne wyroby z metalu, jak na przykład dawno zapomniana halabarda, noszona sto lat temu przez stróżów nocnych.

Pośród plecionych z korzenia sosny koszyków, talerzy, dzbanów na jagody, znalazły się wyroby starego Olejnika, ojca **TADEUSZA OLEJNIKA**, obecnego kierownika Muzeum Ziemi Wieluńskiej.

3.

Dwadzieścia parę lat temu z biednej, leżącej czternaście kilometrów od Wielunia wsi tłukło się na pożyczonym rowerze dwóch chłopaków, którym marzyło się zakosztować nauki i poznać świat z tej drugiej, ni-by lepszej strony. Rodzice jednego z nich nawet nie wiedzieli, że syn jedzie zdobywać miasto. Matka zajęta przychówkiem i biednymi morgami, ojciec zaś zbierał dyplomy, jego fotografie wśród przodowników, bo w rekordowym tempie budował drogi we Wrocławskim.

Dojechali do miasta i chłopak stanął przed Bramą Krakowską. Zob-

klasztorze i jak Antek na gimnastyce pchnął kulą, to trzeba było gliną ścianę zalepić, a gdy Franek rzucił granatem na dach, granat spadł do klasy.

Można dziś powiedzieć, że muzeum powstało pośrednio za sprawą prezydenta Bolesława Bieruta. Jakoś po ukończeniu liceum Tadeusz Olejnik otrzymał nakaz pracy, a on chciał koniecznie na studia. Tymczasem na studia puszczano tylko dwóch ze szkoły. Olejnik napisał podanie do Warszawy i wprawdzie kancelaria prezydenta odesłała je do Wielunia, ale nakazem pracy już go nie straszono. Po zdaniu egzaminów na wydział historii UL dowiedział się, że podanie nie było potrzebne, ponieważ z liceum otrzymał dyplom przodownika nauki i pracy społecznej, który upoważniał do wstępu na wyższą uczelnię.

Kiedy podczas wakacji koleżdy wyjeżdżał nad morze, Olejnik wyjeżdżał za granicę. Za granicę województwa, znaczy się, we Wrocławskie, gdzie zatrudniał się w pekerach jako meliorant. Każdy mówił, że jest z miasta, a on, że z Wieluńskiego, czyli ze wsi. Nie było się czego wstydzic. Ziemiaństwo zdegenerowane; chłopstwo, wieś tworzyła na tych ziemiach Polskę.

Napisał pracę magisterską „Ziemia wieluńska w opisach i kartografiach” i przyjechał do Wielunia, aby objąć stanowisko kierownika Domu Kultury. No i zaczął wojaczkę o muzeum. Przed wojną było, ale pierwszego września 1939 roku padło pod bombami z niemieckich samolotów.

Dom Kultury ważniejszy. Budynek dla muzeum nie ma. Nie ma zbiorów. Jak nie ma zbiorów, to nie będzie muzeum, jasne? A zbiorów nie będzie, bo nie ma budynku na gromadzenie, czyli kompletne pomieszczenie z popłataniem. W ogóle brak inicjatywy, zniczulica jakaś cholerna.

Olejnik napisał tu i tam, do gazet również, i coś się ruszyło. O muzeum mówiono już jawnie i otwarcie



JOZEF MROZ — olej

## OCENY

**WISŁAW PUSZ**

### SEZON POETYCKI 1974

Według moich obliczeń w r. 1974 ukazało się w Polsce około 110 książek poetyckich, w tym około 90 tytułów nowych (reszta to poezje zebrane, wybrane, a także „wiersze dawne i nowe”).

#### O CZYM MÓWIĄ LICZBY

Zabiegami ciekawym a rzadko dokonywanym jest przyznanie się zespołom nazwisk zrępowanym wokół określonych wydawnictw. Najbardziej smakowita była w roku ubiegłym lista zaproponowana przez „Czytelnika”, który umiejętnie różnicował nakłady: Z. Herberci „Pan Cogito” — 10280, J. Harasymowicz „Córka rzeźnika” — 10280, J. Iwaszkiewicz „Śpiewnik włoski” — 5280, A. Świrszczyńska „Budowatam barykadę” — 2780, E. Lipska „Czwarty zbiór wierszy” — 2280, T. Kubiak „Wzajemność” — 2200, S. Gołębowski „Wilgotna gwiazda” — 1280, Z. Jerzyńska „Modlitwa do powagi” — 1000, J. Trzaska „Rana” — 880, B. Zadura „Pożegnanie Ostendy” — 800, J. Dowgiałewicz „Mieszkam tutaj” — 800.

Trzynastą pozycją (oprócz wymienionych, jeden „Wybór poezji” — A. Rymkiewicza) — żadnego debiutu!

Jedyną konkurencją dla „Czytelnika” był „Pax”, który pod koniec roku rzucił tomiki: E. Brylla „Wolańiem wolam cię” — 10350 (tak pnie Gluziński, to prawie odpowiedź na pańskie pytanie „Dokąd”, skierowane do „profesora”, obecnie dyrektora Polskiego Instytutu Kultury w Londynie), J. Harasymowicz „Zagłowiec i inne wiersze” — 5350, W. Bak „Wiersze wybrane” — 3350, A. Kowalska „Spojrzenie” — 3350, J. Sito „Wiersze dawne i nowe” — 2350, J. M. Kononowicz „Gaj dehowy” — 1550, E. Cichła-Czarniawska „Krańczenie wzajemne” — 1350.

Najwięcej tomików poetyckich ukazało się w „Wydawnictwie Literackim” — 15 bodaj. Nazwisk sprawdzonych znacznie tu mniej niż w „Czytelniku” i „Paxie” — Gluziński, Karasek („Poezje”, najniższy nakład — 780), Kozioł, Kurek, Rostworowski („Czas nie zagryza kobiet”, najwyższy nakład — 5180, bo „poezje miłosne”); jest też kilka debiutów. Dobór preferuje bliższe i dalsze okolice Krakowa; w przypadku publikacji poetyckich nasze wydawnictwa są regionalne.

Z oficyn uznawanych tradycyjnie za regionalne — rajem dla młodych poetów wydaje się być „Ossolineum” (II pozycji — przeważnie debiuty i drugie, trzecie tomiki), niezłe stara się też „Wydawnictwo Morskie” — 7 publikacji o podobnym charakterze. Natomiast posu-

cha panowała w 1974 w „Wydawnictwie Łódzkim” (3 tomiki), w „Wydawnictwie Lubelskim” (3), a zwłaszcza w „Ślasku”, który wydał tylko 2 zbiorki, w tym „Nazwywanie rzeczywistości” (według bardzo starej recepty, o dziwo, potraktowanej przez autora, T. Kowalczyka, jako manifest).

Skoro wiemy, jak starały się wydawnictwa, zapytać godzi, jak krzatali się autorzy. Najwyższy nakład osiągnęło drugie (poszerzone) wydanie „Dedykacji” Daneckiego — 15200 egzemplarzy. Natomiast po dwa tomiki, według mego rozeznania (z wykluczeniem wyborów i drugich wydań) zaprezentowali: J. Harasymowicz, Z. Jerzyńska („Modlitwa do powagi” w „Czytelniku” i „Bo myśl z siebie zaczęła” w „Generacjach”) oraz R. Milczewski-Bruno („Jesteś taka umarla. Erytyki” (!) w „Ossolineum” i „Dopokąd” w „Pojezierzu”).

Królem poetów roku 1974 jest niewątpliwie J. Harasymowicz. Dwa tytuły — 15630 nakładu. Co nazwisko, to nazwisko (przepraszam — dwa!).

#### O CZYM MÓWIĄ TYTUŁY?

Jak co roku można mówić o udanym sezonie — dzięki serii tomów poezji wybranych. Czytelnik spragniony poetyckiego słowa mógł sięgnąć do autorów gwarantujących satysfakcję. Między innymi w „Bibliotece XXX-lecia” ukazały się „Wiersze i zapiski” J. Przybosa oraz „Wiersze” A. Stonimskiego, a w „Bibliotece Poetów” „Wiersze” T. Różewicza.

um położyłem jaki taki chodnik. Dzięki temu wojowaniu czysto jest, zielono i nie trzeba się wstydzic. A sam budynek Muzeum? To też była rudera...

Tadeusz Olejnik broni się przed dziennikarzami, jak może. Nie chce, żeby robić z niego bohatera i wsta-dzić na cokół. Wprawdzie po cichu przyznaje, że pełnił dotychczas trzynaście różnych funkcji społecznych, ale jak wobec tego w tym nawale zajęć zdążył zrobić doktorat, trudno dociec. Może dlatego, że historia regionu stała się jego pasją? Organizuje odczyty, wystawy stałe i okresowe, naukowe, współpracuje z nau-czycielstwem, propagując regionalizm w nauczaniu historii i geografii.

W zombardowanym mieście pozostało wiele zabytków wysokiej klasy. Doktor Olejnik myśli, że należałoby zburzyć rudery i szalety przy ulicy Podwale i tam, gdzie były dawniej fosy, założyć planty. Bo Wieluń do dziś posiada rozplanowanie przestrzenne z XIV w. Istnieje duży fragment murów obronnych z basztami. Wypadałoby je odrestaurować i udostępnić turystom.

W 1940 r. w czasie „porządkowa-nia” miasta Niemcy wysadzili w powietrze piastowską kolegiatę z przełomu XII i XIII w., drugą w Polsce po kolegiacie tumskiej. Aż się prosi, aby ją odgruzować, wyciągnąć kawałek murów, dać tylko zarys. Byłby to symbol hitlerowskiego barbarzyństwa. A może urządzić w podziemiach oddział Muzeum poświęcony martyrologii?

Przy Bramie Krakowskiej zachowane ruiny swoistego barbakanu. Czy nie warto go odbudować i umieścić tam zabijki pożarnictwa? Tadeusz Olejnik twierdzi, że strażacy na wieluńskich wsi odegrali dużą rolę w sprawach niepodległościowych, utrwalaniu języka polskiego i kultury.

Marzą mu się kokoclarze, herody, galki, ale chciałby też, aby do jego starej, rodzinnej wsi wróciła i nowoczesność, pozwalając ludziom żyć lepiej i dostatniej. Jeśli nawet nie spełnią się dalsze zamierzenia, to i tak będzie szczęśliwy, iż dopiął tego, o czym marzył w chłopcych latach, gdy po raz pierwszy stanął przed Bramą Krakowską.

Dalszy ciąg na str. 6

# FELIETON WĘDROWNY

Usiadłem do biurka i zacząłem pisać felieton. Brak mi poczucia, że zdołam rzecz bez przeszkód napisać do końca. Ktoś do mnie zapuka, poprosi mnie o miedziany rondel, o sto złotych, a jakąś rzecz bardzo pospolitą, lub bardzo osobliwą i przerwie moje pisanie i tak niepełne, sztuczne. Wole uprzedzić te przeszkody i z kartką papieru w ręku wychodzę z domu. Sytuacja się niejako odwróciła — wtedy planem naturalnym było pisanie, a wszystko to, co je przerwie — nierealne, teraz, po opuszczeniu domu, planem nierealnym stało się pisanie, a naturalną sumą czynności przeciwnych pisaniu. Teraz ja pukam do znajomych.

Przepraszam, piszę pewien drobny, czy będzie można w drobiazgu...

Mój znajomy wrócił po swojej ciężkiej pracy do domu, wypoczywa na łóżeczku, jego żona kręci się przyrządzając obiad i oto kartka z napoczętym felietonem leży pomiędzy talerzami smażonych pieczarek, kolo szklanki z herbatą. Na papier padają kryształki cukru. Przerzucam pisanie, jem, piję, rozmawiam. W pewnej chwili udaje mi się napisać jedno zdanie. Potem gospodarz wyciąga z szafy wódkę rumową, cytrynę, Płemu gorący grog. Pod wpływem grogu wpadam w stan osłabienia — jestem pewien możliwości napisania wyborczego felietonu i to bez żadnych przeszkód, a przecież właśnie nie pisać grogu jest generalną przeszkodą, kiedy uświadamiam to sobie, opuszczam życzliwych gospodarzy i u znakomitym nastroju wychodzę na ulicę z ledwo zaczęta kartką w kieszeni.

Idę ulicami i myślę: „Ciagle nie piszę, ciągle nie piszę”. A przecież jest to niepisanie mimo konieczności pisania poniedziałku wybrane. Oto staję przed drzwiami innego znajomego. Człowiek ten upuszcza mnie do swego domu, nienawidzi mnie, wiem o jego nienawidzi, ciekawi mnie ta nienawidzi, jest dla mnie atrakcyjna ta nienawidzi. Kiedy go pytam czy pozwoli mi u siebie pisać, mówi szczerze, że u niego nie wolno pisać. Kiedy otwieram portfel i pokazuję mu fotografię, pyta skąd mam tyle pieniędzy? Mój sweter jest mu nienawistny, marynarka podejrzana, koszula godna pogardy — wychodzę z jego domu, a on z ulgą stwierdza moje odejście.

Błądzą i trafiają, bywam w wielu miejscach i nie bywam nigdzie. Gdzieś udaje mi się napisać jedno słowo, a gdzieś całe zdanie. Tak powstaje felieton trudnego pisania — pisanie cierpienia. Powoli kończy się czas i miejsce felietonu mimo, że jeszcze nie zaczął się temat — jakiego to ducha zakląłem? Kto umarł z ostatnim słowem, jak z ostatnim oddechem?

BERNARD SZTAINERT

## LISTY

W ostatnim numerze „Odgłosów” Anurzej Bajer zakończył druk swego, nie waham się użyć tego słowa, wspomnianego cyklu „Anatomia zbrodni”, dotyczącego zbrodniczego zamachu na życie prezydenta Stanów Zjednoczonych J. F. Kennedy'ego. Była to publikacja nie tylko nader interesująca i ciekawa, ale przede wszystkim potrzebna. Drobniagowa analiza materiału faktycznego i oparcie się na opublikowanych i dostępnych źródłach, pozwoliło lepiej zrozumieć kulisy tego ohydliwego mordu oraz poznać siły i mechanizmy działające i rządzące w tym kraju osławionej „demokracji”. Przyznam się jednak, że po przeczytaniu ostatniego odcinka, stanowiącego podsumowanie całego cyklu, odczułem pewien niedosyt. Autor nie doprowadził sprawy do końca, do końca w tym sensie, że przed chwilą obecną sprawa tego zamachu odżywa na nowo. Coraz śmielej odzywają się różne głosy o konieczności ponownego jej zbadania. Są to głosy różne, mniej lub bardziej oficjalne, a przede wszystkim istnieje pewna presja opinii społeczeństwa amerykańskiego. Wydaje się iż byłoby celowe, aby P. Bajer lub inny publicysta, śledzący lub dwóch odcinkach stan faktyczny. Czy istotnie podejmie się takie nowe badania? Na podstawie poledyficznych informacji zamieszczanych od czasu do czasu w naszej prasie, trudno na razie wyrobić sobie jakikolwiek pogląd na tą sprawę. Czekamy zatem na ciąg dalszy publikacji.

ZENON KOMORNICKI  
Łódź

# SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH



## WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Data urodzenia i moment debiutu prasowego przypisują Władysława Orłowskiego do pokolenia Kolumbów. Literatem zawodowym został dopiero w 1964 roku i przez dziesięć lat był członkiem Związku Literatów Polskich bez opublikowanej książki, przyjęto go bowiem do organizacji pisarskiej na podstawie dwóch sztuk scenicznych, wystawionych w teatrach łódzkich.

Władysław Orłowski urodził się 27 czerwca 1922 roku w Warszawie w rodzinie lekarza. W czasie okupacji był żołnierzem Armii Krajowej, brał udział w powstaniu warszawskim. Debiutował wówczas notatką prasową na łamach „Rzeczypospolitej” (9 sierpnia 1944 roku). Po wyzwoleniu stolicy, mimo odniesionej w powstaniu rany, zostaje żołnierzem Ludowego Wojska Polskiego. Po wojnie ukończył studia prawnicze w Uniwersytecie Łódzkim. Odtąd silnie wiąże się z Łodzią, gdzie pełni odpowiedzialne funkcje w miejscowych „publikatorach”. W latach 1956—1959, mianowicie, był redaktorem naczelnym „Expressu Ilustrowanego”, zaś w latach 1959—1962 redaktorem naczelnym Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. Od roku 1962, już jako redaktor naczelny Wytwórni Filmów Oświatowych, podejmuje wykłady z zakresu literatury i dramaturgii w

Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi, prowadzone przez lat dziesięć.

W 1970 roku w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk uzyskuje tytuł doktora nauk humanistycznych za dysertację „Podstawowa problematyka adaptacji filmowych i telewizyjnych tekstów literackich na wybranych przykładach”. Praca ta stała się podstawą pierwszej samodzielnej publikacji książkowej Orłowskiego — „Z książki na ekran” (1974). Wyrosła ona nie tylko ze studiów naukowych nad funkcją literatury w filmie i telewizji, lecz także z bogatego doświadczenia dramaturgicznego autora. Orłowski w pierwszej części książki zaprezentował przegląd stanowisk wielu znawców dramatu i filmu na temat adaptacji ekranowych wybitnych tekstów literackich, jak np. A. Artaud, A. Bazin, B. W. Lewicki, S. Skwarczyńska, J. Toeplitz (promotor doktoratu). W rozdziale „Nad scenariuszem filmowym” ekspozycyjnie godny zaufania warsztat autora adaptacji filmowych, do którego w pierwszym rzędzie zaglądać powinni adepci tej niełatwej sztuki. Drugą część „Z książki na ekran” stanowi rzetelna analiza adaptacji filmowej powieści Stanisława Dygata „Pożegnania” (reż. W. Has), adaptacji telewizyjnej „Urzędu” Tadeusza Bre-

zy (reż. J. Majewski) oraz dwóch adaptacji ekranowych „Wspólnego pokoju” Zbigniewa Unlińskiego (film reż. W. Hasa, spektakl telewizyjny reż. J. Antezaka). Z tą pracą koresponduje, w tymże roku ogłoszony, esej Orłowskiego „Cudowny świat rzeczy zwyczajnych” (o teatrze telewizyjnym) w almanachowym wydawnictwie „Szkice o sztukach masowych w Polsce”.

Władysław Orłowski, autor kilku sztuk teatralnych i telewizyjnych oraz słuchowisk radiowych, jest członkiem Klubu Dramatopisarzy Polskich przy Oddziale Warszawskim ZLP, zrzeszającego — jakże nielicznych — literatów dramaturgów z całego kraju. Debiutem w tej dziedzinie była sztuka „Sprawiedliwość w Kioto”, opublikowana w „Dialogu”, a wystawiona na scenie Teatru Nowego w Łodzi w 1961 roku. Ta przypowieść sceniczna w dwóch częściach, z prologiem i intermediami, opowiada o mechanizmach władzy w dawnej Japonii w XI wieku (epoka Heian). Następny tekst teatralny Orłowskiego — to „Jutro Berlin” (premiera w Teatrze im. S. Jaracza w Łodzi w 1963 roku), spektakl uhonorowany nagrodą zespołową II stopnia Ministra Obrony Narodowej. Trzecią z kolei sztukę tegoż autora — „Pięty lot” — drukował „Dialog” w 1965 roku.

Związki Orłowskiego z telewizją okazały się bardzo owocne. Jego pierwszy dramat telewizyjny „Siedem dni prezydenta” (TV Łódź, 1968) stał się pamiętnym wydarzeniem artystycznym i został nagrodzony w konkursie na widowisko telewizyjne. Zamieszczony w „Dialogu”, znalazł się później w zbiorowej publikacji „Teatr szklanego ekranu” (Iskry, 1970) wśród utworów takich dramatopisarzy, jak J. Broszkiewicz, S. Grochowiak, Z. Skowroński, J. Kraśniński. Widzowie telewizyjni pamiętają także zapewne dalsze widowiska Orłowskiego: „Spektaki w teatrze Forda” (TV Warszawa 1971, TV Bratysława 1972), „Spóźnione życzenia noworoczne” (1971), czy też niedawno emitowane „Nie ma sprawy” (1975). W realizacji znajdują się kolejne pozycje. Do owego dorobku dodajmy jeszcze słuchowiska radiowe: „Papua”, „Sprawa Calasa”, „Wędrująca dusza księcia Berwick”, „Kwitnące kasztany”, „Ta jedna noc”.

Władysław Orłowski ma wyraźnie sformułowaną definicję sztuki dramatopisarskiej. Pisze o tym w pracy „Z rozmyślań dramatopisarskich”: „Można by zaryzykować stwierdzenie, że dramatopisarstwo w większym stopniu niż inne rodzaje literackie

polega na konstruowaniu, jest bardziej ażurowym szkieletem, belkowaniem, niż pełną strukturą. (...) Otóż „milczącej reszty” jest w sztuce scenicznej więcej niż w powieści, gdzie autorowi łatwiej jest utrzymać ciągłość myślową, tworzyć za jej pośrednictwem złożony i gęsty model świata w większym stopniu pozorującej rzeczywistość”.

W ostatnich latach Orłowski, ogłaszający już opowiadania, przystąpił do pisania powieści. Wydaje się, iż przypisze się on do tej plejady pisarzy dojrzewających późno, którzy nie raz nawet po półwiecu swego żywota debiutują w dotąd nie uprawianych przez siebie dziedzinach twórczości i pozyskują uznanie krytyki i czytelników. Zapowiedzią owego rozszerzenia warsztatu pisarskiego jest powieść „Cudza miłość, cudze cierpienie”, znajdująca się w druku, a znana czytelnikom „Odgłosów” z fragmentów, zamieszczonych przed kilkoma tygodniami. Można mówić o niewątpliwie dramatycznej powieści, co wynika z doświadczeń scenicznych jej autora, a polegającej na przejrzystym rozpisaniu ról bohaterów, których wątki życiowe tworzą swolisty kilim miejskiego współczesnego siedliska. Orłowski okazał się tutaj umiejętnym psychologiem, jego postacie powieściowe nie są z „tektury” — zróżnicowane, boją autentyczności, żyjące na różnych płaszczyznach świadomości społecznej. Jest w tej powieści sporo fragmentów o dużej elegancji stylistycznej. Orłowski nie byłby chyba nigdy poetą, lecz zdobywa się przecie na partie tekstu prozatorskiego o wyraźnym nateżeniu poetyckim i filozoficznym także. Nowa powieść (o nie ustalonym tytule), którą pisarz przygotowuje do druku, potwierdza możliwość Orłowskiego jako prozaka. Akcją tej współczesnej powieści rozgrywa się w Polsce i nad Bałkaniem, gdzie bohater, młody naukowiec polski interesujący się budową elektronów, spotyka się z tradycjami naszych badaczy tego pięknego jeziora i syberyjskich tajg.

Władysław Orłowski szuka zatem nowych form wypowiedzi. Wierny dramaturwi, pisze teatr i projektuje widowisko, a ze swej pracy twórczej czerpie materiał do teoretycznych uogólnień. Obok literatury w tradycyjnym rozumieniu przygotowuje teksty dla środków masowego przekazu. Jeśli sięga do wątków historycznych, to z reguły z intencją wyeksponować ich dla przekazu przemysłowej spraw współczesnych.

FELIKS RAJCZAK

## OCENY

Dalszy ciąg ze str. 5

i szereg innych tomików to chór wznajęcych dekoracji, powtarzający refreny dawnych przebojów.

Inna liczna grupa tytułów — zbiorów „młodo-poetyckich” (przepraszam, termin nie mój), wydawanych najczęściej poza oficjalnymi oficynami (jak dostatek „Debiuty poetyckie 1973 roku” Leszka i Waśkiewicza, łódzkie biblioteki ich nie znają), akcentuje przez swoista obowiązkową poetykę, postawę twórcy — zaangażowanego. Oto publikacje toruńskiego Studenckiego Centrum Kulturalnego „Od Nowa”; „Poeta w niebieskim kombinie roboczym” (J. Kryszak), „Widzę ciebie jedynie wtedy, kiedy widzisz przestaje” (W. Krzysztołek), „Południe trzydziestolecia” (K. Nowicki), „Sztuka podnoszenia palców” (E. Puzdrowski), „Najlepiej koniowi, kiedy nogę złamie” (Z. Pruss).

### O CZYM MÓWIĄ POETCI

Uznani o tym samym. „Śpiwnik włoski. Wiersze” J. Iwaszkiewicza jest urokliwy od dawnie dwudzielnego, a i minidera obciążeniu tytułu. W całej gamie wielce różnych w poetyce utworów skry się urzekający wysoka kultura nurt refleksyjny sytuujący poetę wobec upływającego czasu.

Z bliska, choć już odległa przeszłość, rozlicza się też A. Świrszczyńska w monotematycznym tomie poświęconym powstaniu warszawskiemu „Budowałam barykadę”.

Zaprzecz, „bezklasowe sumował dni” J. Harasymowicz w „Córce rzeźnika”, poemacie bliskim nastrojem (choć nie klasą) „Kwiatom polskim”.

Wśród poetyckich pożegnalnych głosów urzekł mnie pośmiertny tomik M. Kubickiego „Blizna”. Owe „Rozmyślenia o trudzie ludzkim w XXVII stuleciu”, tak bardzo chłopskie w swej prostocie i funkcjonalności stylu, dalekie od wykonywanych efektów, niweczące często poetycki nastrój doświadczenia i dosłownością wpiśnianych nagle w krajobraz faktów i nazwisk — są nie spotykany już dzisiaj świadectwem niesamowicie dokładnej, precyzyjnej znajomości ziemi ojczystej: cała Kieleccyzna jawi się nam w tych „stacjach” widziana jakby z góry, z niewielkiej wysokości, w pełni swego platycznego zróżnicowania.

Jest dla mnie potwierdzeniem prywatnej oczywistości, że wśród całego

ttumu zbiorów twórców najmłodszych, prezentujących wymęczoną, wytresowaną edukacją wyobraźnię, świeżo i indywidualnie zabrzmiął mi ton poety o chłopskim rodowodzie — J. Barana, Wiersze prezentowane w „Naszych rozmowach najszerszych” są przeważnie żegnaniem odchodzących w przeszłość: dzieciństwa, krajobrazu, ludzi. Nie znajdujemy tam ani katalogu nazwisk współczesnych i nieco wcześniejszych myślicieli i filozofów, indeks miejscowości nie ujawni Londonderry, Belfastu, Biały i t.p. Są to jeno poetyckie

Podmiot tych wierszy czuje się odpowiedzialny, więc i winny, za wypadki, co charakterystyczne, dziejące się teraz w sądzie. Owa odpowiedzialność za wszystko i gdziekolwiek pozabawiona — oprócz moralnej — innych motywacji, owe poczucie winy — montowane wbrew prawdzie o psychicznej nieosiągalności tego stanu, nie przekonują, budzą podejrzliwość dopatrującą się w tej postawie znamion poży, literackiej kreacji.

Słabość tego typu poezji polega i na tym, że nie chce, czy nie jest w sta-

WIESŁAW PUSZ

## SEZON POETYCKI 1974

Impresje, osadzone wyłącznie w ramach podstawowych, najistotniejszych, najbardziej elementarnych przekonań dotyczących ludzkiego losu, odwołują się one jeżeli nie jedynie, to przede wszystkim do tzw. chłopskiej filozofii.

Jednak swolisty świat tych wierszy, ich klimat — tworzony głównie przez specyficzny, dobrotliwy i wyrażony jednoznacznie humor, powodują, że mimo zbytniej skłonności do stawiania kropek nad i (choćby w świętym „Epitafium”), czyta się ten zbiór bez przymusu, chętnie, smakując wyobraźnię nie spod sztancy.

Zbiorki Kubickiego i Barana w jakimś stopniu dopełniają się nawzajem, są poetyckim świadectwem końca i początku drogi — początku, który w kulturze ludowej zaczyna się od świadomości kresu.

Co kształtuje świadomość „miejska”? W przypadku najmłodszych poetów, sądząc z dorobku ubiegłego roku — współczesność. Traci swą rangę tradycja, wraz ze swym najważniejszym komponentem — kulturą. W kraju skazanych (...) sztuka śpiewu dawno zapomniała o heksametrze”, stwierdza S. Stabro w tomiku rejustrującym okoliczności „Dnia twojego narodzenia”.

Wbrew różnym deklaracjom nie najistotniejsza jest historia, poetyckie rozpoznanie rzeczywistości obejmuje tylko teraźniejszość. Oto kilka tematów wierszy Stabry: „Belfast 1971”, „Ocalenie” czterech studentów z uniwersytetu stanowego w Kent i śmierć Williama Shroodera („Tren na śmierć...”), proces Angeli Davis („Modlitwa o Angeli Davis”), ładowanie na Księżycu („Korzyści jakie wynikają ze zdobycia Księżycy”).

nie ujawnia mechaniki i relacji zdarzeń, rejestrując tylko objawy, zewnętrzny stan rzeczy. Informacje z pierwszych stron gazet dziś, po kilku latach, zbłądy, zdezaktualizowały się, ktoś na przykład dokładnie pamięta przebieg czy nawet sens wydarzeń w Londonderry.

Cheąc przekonać nas do swej tezy: „cywilizacja w godzinie śmierci”, Stabro zestawia listę wybranych danych.

Chrystus — Apollo w chromowanej kabinie, koehankowie uśmiechnięci w godzinie rozstania,

Wietnam, Sade i Godard, przezroczyście langusty wypływające z oteplani,

zielone żałki głodu, Budda i Zen, prom rozpalonej pustyni na fali umarłych.

Święto naszego świata — coraz bardziej wymarłe łódka hotelowych pokoi.

Cywilizacja w godzinie śmierci. (Z apokaliptycznej)

O ileż ten wiersz-rejestr, wiersz o ambientach kamery, mówi mniej i słabiej od poetyckiego uogólnienia, fikcji i deformacji widzialnego świata — prezentowanych choćby w znakomitym wierszu „Z wycieczki” U. Kozioł. (Zresztą jest to bodaj najlepszy utwór z tomu „W rytmie słońca”; z dawnego splotu sprzeczności, opozycji trwania i przemijania, zakorzenienia i wyobcowania, nie prawie nie zostało w zbiorze pozabawionym nowych obsesji, zadziwiający już tylko przede wszystkim wielką maestrią techniczną).

O ileż bardziej przejmująca jest wizja rzeczywistości z „Czwartego zbioru wierszy” E. Lipskiej, przy całej zależności owej wizji od obłogowej, „kawiarnianej” diagnozy: przekreślona autentyczna dziecięcość przy infantylności dojrzałej, choroba fizyczna i anomalność psychiczna stające się „zdrowieniem” w coraz bardziej odległym od tradycyjnych norm świecie.

Można co prawda mówić o beznosności zestawiania efektów osiągniętych przez zastawianie różnych metod: poetyckiej rejestracji i poetyckiej transformacji. Ale przeczytajmy w takim razie najpierw „Rady dla młodego poety” Stabry, a potem „Przesłanie Pana Cogito” Herberta.

Pożegnanie spokojnego sumienia, rozstanie się z przytą samoty, prezentowane powszechnie przez najmłodszych, mają być, a nie ma powodów, by temu nie wierzyć, wynikiem doświadczeń kilku ostatnich lat.

Ciekawe, że wiersze poetów nieco starszych, przeżywanego często w dominującym u nas zapale (szale?) klasyfikatorskim „neoklasykami”, wskazując na te same doświadczenia — zapowiadają „Pożeganie Ostendy” — w tomiku Zadury pojawiają się terminy: „racje ostateczne”, „racje sprzeczne”, „racje dostateczne”. Dochodzi do głosu i wielokrotnie jest akcentowane sarkastyczne przekonanie o narzuconej konieczności zmiany szeroko rozumianego stylu.

Wstyd, który gniecie nas bez winy — Skoro jest wokół winnych tyłu — Przeklnijmy biorąc — bez przyczyny — Kolejną lekcję w szkole stylu. („Oddawszy Bogu...”)

„Modlitwa do powagi” Z. Jerzyny odbywa się w atmosferze czuwania, ze świadomością osaczenia, ograniczenia („zamknięty kraj”, „ciemności (...) wielkie kregi”). „Czemu z polską tak smutno”, zastanawia się autor, dotychczas: do Stabry: „Obóz nazywa się Nostalgia” i do Zadury: „Ta nostalgia Te dobre miny do złych gier (Leczenie zgłosek Ta ambicja pisania dobrych (Wierszy, które nie pomóc nie mogą I o niczym/ Nie świadcza...”)

Nostalgia, to według źródłosłowu — tęsknota za ojczyzną. Ojczyzna staje się nie tylko powszechnym tematem artystycznym, lecz i troska („Ojczyzna” Stabry, „Kochanie ojczyzny” Jerzyny).

„Pożeganie Ostendy” przez „zranionych” wydaje mi się naciękawym wydarzeniem minionego poetyckiego sezonu. Sezonu, który upłynął pod znakiem pożegnania.

Objawił się jedynie Pan Cogito.

## SERDECZNIE WITAMY!

JERZY PORADECKI

## ARS POETICA CZYLI o pożytkach FACHOWOŚCI

Po raz dziesiąty już gościmy w naszym mieście poetów i krytyków literackich z całego kraju na Ogólnopolskim Festiwalu Poezji. Jego żywotność dowodzi, że jest imprezą potrzebną jako miejsce sporów o kształt słowa, o nową wizję artystyczną naszej rzeczywistości i jako swoista giełda literacka, na której dokonują się przewartościowania, kreowane są lub zauważane zjawiska jakościowo odmienne od tych, które zrosły się już na trwałe z tkanką naszego języka. Ale są przecież te nasze festiwalowe chwile refleksji a czasem nawet i troski o wygłoszenie słowa najpierwszy, o przywrócenie mu nie tylko właściwego znaczenia lecz jednocześnie siły zdolnej przeobrażać ludzi i świat, rozpaść wyobraźnię, wzruszać. Nikt nas, pisarzy, z tego obowiązku nie zwolni, bo jest to wieloletnia tradycja naszej literatury, że towarzyszyła ona narodowi w chwilach trudnych i w chwilach największych, a zawsze obecna była w umysłach i sercach.

Spotykamy się w Łodzi po raz dziesiąty, a więc niemal jubileuszowo, chociaż oczywiście jubileusz nie będzie, bo nasz zjazd ma charakter roboczy, bo będziemy się wspólnie zastanawiać nad funkcjami słowa, będziemy się wodzić i dywaskutować, a nasze spory służą będą zbliżeniu między ludźmi, gdyż poezja jest tym, co potrafi łączyć i jednoczyć poprzez wspólne

wzruszenie, poprzez przeżycie świata na nowo, inaczej, niezwykłej. Dziesięć lat to wiele jak na historię festiwalu i niemal mglenie, gdy odniesiemy ten czas do tradycji poezji polskiej, do bogactwa jej wypowiedzi i sposobów artystycznego wyrazu, jej mgiłowej zmienności. A przecież nawet nasz Festiwal ulegał i będzie ulegał przekształceniu, aby najlepiej spełniał swoje funkcje, abyśmy ostrzej i wyraziście widzieli rolę i miejsce poezji w całokształcie dokonanej polskiej literatury współczesnej. Bawiem spory nasze nie są wewnętrzna sprawa samych poetów: są wyborem drogi do ludzi, do czytelnika i słuchacza, który uważnie śledzi nasze poczynania. Dlatego właśnie chcemy nasze festiwale jeszcze bardziej uspołecnić odchodząc od form dyskusji między specjalistami i przenosząc ją do środowisk robotniczych, do szkół, do bibliotek.

W ciągu tych dziesięciu lat zmieniła się zresztą nie tylko nasz Festiwal, zmieniło się także miasto, które patronuje naszym spotkaniom. Zwalazca w ostatnim okresie nastąpiły tu gigantyczne przeobrażenia znane jako program modernizacji i rekonstrukcji Łodzi. Jest dziś to miasto inne od tego, które stanowiło inspirację twórczą dla lewicy literackiej w okresie międzywojennym, ale też inne od miasta pracy i nauki z pierwszych dziesięcioleci rzeczywistości socjalistycznej. Jako

baczni i wrażliwi obserwatorzy dostrzeżecie na pewno tę nową jakość miasta, nowe jego oblicze, choć trzeba pamiętać, że proces przeobrażeń nie został jeszcze zakończony i że przyszły Festiwal dostarczy Wam nowych materiałów do porównań i refleksji. Dostrzeżecie tu także nowy, przyspieszony nurt życia we wszystkich jego przejawach.

W dniach swojej trzeciej młodości Łódź jest miastem, w którym zwłaszcza pisarz obserwować może zjawiska godne najlepszych piór, w którym zwłaszcza poeta zainspirowany zostanie do wiersza lub poematu zawierającego żywy, niespokojny rytm czasu.

Serdecznie witamy Was, poetów i krytyków, na kolejnym spotkaniu w naszym mieście. Życząc Wam gorących i twórczych obrad nie wątpimy, że ten X Ogólnopolski Festiwal Poezji służyć będzie sprawie największej: mowie polskiej — wrażliwszej, Waszą wrażliwością, celniejszej, Waszą ostrością widzenia, silniejszej, mocą Waszej wyobraźni i talentu.

JERZY WAWRZĄK

PREZES  
ŁÓDZKIEGO ODDZIAŁU  
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

— Spotykamy się w przededniu Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, jubileuszowego bez mała, bo już dziesiątego z kolei. Warto by z tej okazji pomówić szerzej o sprawach łódzkiego środowiska pisarskiego, z którego inicjatywy przecież odbywa się to coroczne spotkanie poetów i krytyków z całego kraju. A więc, na początek. Jak zapowiada się tegoroczny Festiwal?

— Idea łódzkiego Festiwalu Poezji zrodziła się dziesięć lat temu i wtedy był on niewątpliwie najważniejszą imprezą literacką tego typu w naszym kraju, miejscem najistotniejszych sporów artystycznych i ideowych o kształt współczesnej poezji w Polsce. Scierały się na nim nie tylko koncepcje teoretyczne, ale i poetyki; ujawniał on nowe zjawiska a najwybitniejsze nagradzał. I tych cech Festiwal nasz w zasadzie nie utracił.

— Ale jeśli jestem dość ostrożny w optymizmie przy ocenie najbliższego Festiwalu, to moja wstrzemięliwość podtykowania jest faktem, że wyrosł nam za plecami groźny konkurent. Choćby w postaci Warszawskiej Jesieni Poetyckiej, która mając międzynarodowy charakter skupia na sobie coraz bardziej uwagę społeczeństwa i krytyki, odbierając nam część dawnego splendoru.

— Moja wstrzemięliwość podtykowania jest także tym, że mimo niewątpliwych ambicji poezja współczesna wywiera niewspółmiernie do nich mały wpływ na życie społeczne, że izoluje się jakby od czytelnika, o czym świadczą choćby nakłady tomików wierszy.

— Rozumiemy, że ten stan rzeczy nie został zawiniony przez samych poetów. Ale jako współorganizatorzy Festiwalu musimy myśleć o ich uspołecznieniu, o wyjściu z ciasnych ram dyskusji między specjalistami. Musimy po prostu pokusić się o wypracowanie ich nowego modelu.

— W roku bieżącym poczyniliśmy pierwsze, przyznaję, nieśmiałe jeszcze próby reorganizacji. Chcemy bowiem, żeby nasze miasto chociaż przez jeden wieczór żyło poezją, żeby wiedziało, co się w niej dzieje aktualnie najwartościowszego.

— Rezygnujemy więc w zasadzie z tradycyjnych, ale mocno już przetrzytych i skostniałych wieczorów autorskich w ich dotychczasowym kształcie. W różnych dzielnicach Łodzi prezentować będziemy, przy współudziale zainteresowanych autorów, inscenizacje współczesnej poezji w wykonaniu amatorskich zespołów artystycznych. Te prezentacje będą miały najczęściej formę koncertów poetycko-muzycznych, choć możliwe są także inne środki realizacyjne. Żeby zaś nadać Festiwalowi charakter bardziej autentyczny, zdecydowaliśmy się na krok może ryzykowny, choć ułatwiający właśnie spontaniczność. Wprowadzamy np. jarmark artystyczny, na którym poeci będą czytać swoje utwory w odpowiedniej oprawie. Będzie więc tam przegrany muzyka, będą liczne wystawy, będą czynne stoiska sprzedaży książek. Będzie to zatem jarmark w sensie dosłownym, a jednocześnie przenośnym jako swoista giełda wartości i propozycji artystycznych.

— Rozumiejąc, a nawet podziwiając te niepokoje, pamiętam jednocześnie, że łódzka społeczność pisarska organizując festiwale poetyckie dała dowód swej aktywności. Warto może więc pokusić się o charakterystykę naszego środowiska literackiego, zanim przedziemy do zagadnień bardziej szczegółowych.

— Wszelkie charakterystyki mają w sobie coś z ocen, a te są trudne, i niebezpieczne. Ale może warto przypomnieć, że jesteśmy trzecim pod względem liczebności środowiskiem literackim w kraju i że społeczność nasza jest bardziej barwna i wartościowa niż to się z pozoru wydaje. Kiedyś, przed laty, dominowali u nas przede wszystkim poeci, ale obok poezji rozwijały się również literackie inne gatunki i rodzaje literackie. Niemalą rolę w tym procesie ewolucyjnym odegrało Wydawnictwo Łódzkie, które jest edytorem większości naszych prac, aczkolwiek, na szczęście, nie monopolistą w tej dziedzinie. Mamy także sporo do powiedzenia w dziedzinie dramatu, chociaż droga pisarza do teatru jest wciąż jeszcze

ciężka, ale to już osobny problem.

— Cieszy nas wreszcie, że nasi koledzy coraz częściej próbują swych sił w nowych technikach, pisząc dla filmu, telewizji i radia.

— przyczynia się do kształtowania nowej wrażliwości i pobudzenia wyobraźni na miarę czasów, w których żyjemy. Oczywiście podstawowym naszym obowiązkiem jest pisanie i nikt nas z tego obowiązku nie

wszystko od swego kolegi po piórze, który tworzył sto czy dwieście lat temu. To, co teraz powiem, nie ma w sobie nic wartościującego, ale my dziś, w wieku XX, gdy rozpowszechnił się wynalazek kina, radia, telewizji musimy być bardziej wszechstronni, musimy wypoziwadać się za pomocą zupełnie nowych technik przekazu. A tego nie można nauczyć się od razu, to wymaga i czasu, i prób, i związanego z nimi ryzyka.

— Takie ryzyko artystyczne umożliwia nam właśnie Dom Literatury, przy którym będziemy chcieli uruchomić scenę — laboratorium. Będzie tam można robić właściwie wszystko. Można kreować wieczory poetyckie, które staną się w ten sposób spektaklami teatralnymi z udziałem reżysera-autora. Będzie tam także miejsce na autorski teatr, teatr jednego przedstawienia, dzięki któremu dramaturg będzie mógł prawować się ze sceną, dopracowując swój utwór to takiej postaci, żeby sprawdził się także w profesjonalnym teatrze.

— Rozumiem wszakże, że Dom Literatury powstanie nie od razu. Jakże więc ma możliwość działania już dziś pisarz, który chce w pełni uczestniczyć w życiu społecznym miasta włączając się aktywnie w proces przeobrażeń tak charakterystycznych dla współczesnej Łodzi?

— Jak wspomniałem, nasze środowisko zawsze charakteryzowała duża aktywność społeczna, ruchliwość, twórczy niepokój. Świadczą o tym może choćby liczba członków partii — pisarzy w łódzkim oddziale ZLP. I nie jest to przynależność tylko formalna.

— Z inicjatywy naszej organizacji partyjnej doszło do zasadniczych zmian w zarządzie oddziału. Było to konieczne, gdyż skład poprzedniego zarządu nie odpowiadał strukturze pokoleń oddziału jako całości. Oczywiście Związek Literatów Polskich jest przede wszystkim organizacją zawodową, ma za zadanie roztaczanie opieki hytowej nad zrzeszonymi w niej pisarzami, ochronę ich praw i tym samym umożliwianie twórczej działalności. W tej dziedzinie zrobiono w ostatnim cza-

— ocałać wartości moralne, ponosić odpowiedzialność za coś tam itd., niż gadać o tym, czy jeszcze można używać rymów, czy metafora się nie zestarzała, czym się różni synekdocha od synonimu. Ależ panowie, jeżeli rzeczywiście takie cele stawiacie poezji, to sugeruję jak najszybszą zmianę zawodu. Latwiej i skuteczniej można prowadzić naród będąc politykiem, walcząc o wolność np. jako prawnik, ocałać wartości moralne jako kaznodzieja itd. Dlaczego upierać się przy literaturze, która tak niewiele może — zapytacie socjologów.

— Zwykle zacierzenie dyskusantów jest tak wielkie, iż muszę się zastrzec, że bynajmniej nie odmawiam poetom prawa do zajmowania się wszystkimi wzmiankowanymi sprawami. Jestem jak najbardziej za. Byłoby jednak nie przesłaniać nimi politykę partiactwa, byłoby pochwały zbierane za odwagę, mądrość, szlachetność nie zmuszały nikogo do uznania ich za dobrych speców od poezji. Bądźmy sprawiedliwi, mówmy, iż to był mądry człowiek, ale mierny fachowiec w wierszowaniu.

— Dzisiejsze artem poeziać się z reguły albo badaniem nad niesprawnością słowa, które nie po-

— Przecież niejednokrotnie podejmowane już były próby ścisłej współpracy społeczności pisarskiej ze środowiskiem robotniczym, były zawierane odpowiedzialnie porozumienia i najczęściej kończyły się wszystkim na złożeniu podpisów. Chcemy przełamać tę niedobrą tradycję, ułożyć współpracę ze środowiskiem robotniczym na mniej formalno-administracyjnych zasadach. Dlatego też będziemy, jako organizacja partyjna przy ZLP, rozmawiać nie z dyrekcjami zakładów tylko z bratnimi organizacjami partyjnymi w środowisku produkcyjnym i będziemy rozmawiać szczerze, właśnie po partyjnemu. Oczywiście poprzez samą obserwację toku produkcji nie jest łatwo wnikać w istotę zakładu pracy, będziemy się więc musieli zastanowić nad najwłaściwszymi formami uczestnictwa pisarzy w życiu fabryk, będziemy musieli znaleźć płaszczyznę rzeczowego porozumienia. Na początek zajmujemy się jednym, wybranym zakładem przemysłowym, ale

Dalszy ciąg na str. 10

## MUSIMY BYĆ OBECNI

Z KAROLEM OBIDNIAKIEM — I sekretarzem  
POP przy Oddziale Łódzkim ZLP rozmawia  
KONRAD FREJDICH

— Jest rzeczą charakterystyczną, że ta aktywność twórcza naszego środowiska poparta jest także aktywnością społeczną, uczestnictwem w życiu miasta. Uważamy zresztą, że stać nas w tej dziedzinie na więcej i poczyniliśmy kroki, które pozwoliły nam silniej i wyraźniej niż dotąd zaznaczyć swoją obecność w Łodzi i w kraju.

— Jakiego to rodzaju przedsięwzięcia?

— Łódź przechodzi gwałtowny proces modernizacji i przebudowy przemysłu, zmienia swoje oblicze, stając się miastem nowoczesnym, socjalistycznym w pełnym znaczeniu tego słowa. I byłoby bardzo źle, gdyby w tym wielkim dziele przeobrażeń zabrakło pisarzy. Chociaż nie uważamy się za „inżynierów dusz ludzkich”, to przecież nasza trud pisarski

zwolni. Ale musimy szukać także innych sposobów porozumienia z odbiorcą.

— Może to tylko złudzenie, ale wydaje mi się, że Łódź posiada możliwości, aby stać się wzorcem niejako ośrodkiem literackim, przykładem dla innych. Dlatego właśnie tak wiele obiecujemy sobie po Domu Kultury Związku Literatów Polskich jako placówce, która pozwoli nam wiele dzisiejszych planów uczynić konkretnymi. Byłoby to przede wszystkim miejsce nie tylko spotkań autorskich, ale dyskusji o centralnych problemach apokali z udziałem pisarzy, naukowców, specjalistów z różnych dziedzin. Byłoby to także miejsce wartościowego eksperymentu artystycznego.

— Jak to rozumieć? Pisarz współczesny różni się mimo

MIECZYŚLAW  
MICHAŁ SZARGAN

## A W GŁĘBI OGRODU

W miasteczku niskim jak nagietka  
ogród widziany przelotnie  
pachnący złotą renetą  
przedwieczornej godziny

Tak nagle spotkany  
jak kwiat gdy nad nim  
przeleciała pszczoła  
Dziki powoje  
z milczącym dzwonkiem wyroku

Ścieżki idą do jabłoni  
Jabłko zgnilo w pół drogi —

W zneruchomiłych kredowych liściach  
okno na krzyż zabite deskami  
W konarach pajęczyny  
Promień na kamieniu —  
blizna po ranie

A w głębi ogrodu  
Może w głębi jeziornej wody  
lub w głębi nieba  
kołysał się hamak

Igrały liście Jak dzieci  
Od czasu do czasu przez gęstwą  
przedzierał się promień  
Wtedy kobieta  
ze złotym wężem  
włosów na plecach  
podniosła głowę —  
Patrzyła w zimnych agrestów  
z czerwonych smug rabarbaru

Nagle złota żrenica gasła  
związała się  
promień znikł w oku

Wówczas z jej oczodołów bratkiów  
jak z ukrytych nerek  
w które walczyli ogniste druty  
wydarł się  
mysi pisk

A w głębi ogrodu  
a może w głębi kamienia  
słońce z suchych gałązek  
ogromniało w jabłko



MIECZYŚLAW KUCNER

## OBECNOŚĆ

Rozbierasz się dla świata z nawyków i funkcji,  
odrzucając rolę i maski i oto jesteś w swojej nagości,  
oto twoje mięso: krucha niepewność na wietrze,  
nadzieja jak liść niepokojony rosa.

Zmagaj się z sobą Rilke na zamku w Duino,  
Heidegger w przeswitach dróg leśnych, pasterz bytu,  
Baudelaire przeciw milczeniu rzucił na szalę szloch.  
To cisi pracownicy nadziei, świadkowie nas wszystkich.

Który nosisz w sobie nieustannie śmierć,  
o każdej chwili projektując dla siebie odejście,  
nie to efektywne jak sny, o nich pamiętaj,  
który rozpadasz się w niepojęciu, twódcze, ukryciu,

Twoja ulomność dyktuje ci ten niedościgny ruch,  
twoja skończoność wypycha cię poza swe granice,  
który budujesz siebie z uporem z fragmentów,  
z rozstrząskanych mozaik wznosisz swoją doczesność:

Mieszkanie-byt z pomieszanych jak w wieży języków,  
z potu i nieprzejrzystości, aby dotrzeć na krańce;  
ty w locie, ty w upadku, ty w zatroskaniu  
nieśmiertelny, kiedy tak przecyzysz swojej śmierci.

I nieustannie do źródeł powracasz, do metafizyki  
i nie przestajesz modlić się do słońca,  
wiatru, do fał, gwiazd, ziemi i nieba granatu;  
dopóki widzą oczy, dopóki afirmują rzecz.

I nie wyrzekniesz się swojego bólu, nie przyjmiesz  
swojego sieroctwa wśród tylu wspaniałych przedmiotów,  
które przecież są, które przecież znaczą,  
I patrzysz przez lzy na drogę, z której się nie wraca.

JAN CZARNY

## LAURKA dla MORDERCY

strzelasz do człowieka niosącego chleb  
jego serce jest tarczą  
jego twarz jest tarczą  
jego skóra jest abażurem lampy  
przy której piszesz pamiętniki  
jego czaszka jest przyciskiem zapisanych kartek  
twoje lata dobiegają wieku biblijnych proroków  
cienie stoją na straży twoich sekund  
przedawnieniu uległo twoje sumienie  
ale ich śmierć jest ciągle żywa  
rodzi się na nowo  
żyjesz tak długo bo boisz się umrzeć  
boisz się że ci odbiorą śmierć  
ci, którym odebrałeś życie

1975

8



WASYL KOCZNOW

## UCIECZKA

Myslałem: gwiazdy przywiada  
a jednak noc wyprowadzi je przeciw mnie  
i rosa się zaprze  
Będzie rzeka strzec mnie czujnym ptakiem we mgle  
wsluchiwać się w drogi biegnące  
do brzegów srebrzystych  
uprzedzi o bliskiej pogoni i ukryje w trzcinie  
Mogę tylko myśla mierzyć pole odwrotu  
tropić horyzonty przez nieskończone świty  
Spłoszone pociągi jak ranne żurawie klekoczą za nimi  
na widnokręgu wstają obłoki jak węże  
Myslałem  
sam potrafię wyczerpać źródło  
pragnieniem  
czas —  
już rosa wzeszła i gwiazda zapada  
Teraz świt wrogo wzniesie promień  
i chmura jak wojsko poległe okryje się ptakami  
A może to jesień grzebie mnie w sobie  
coraz głębiej jestem w jej czasie

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

## NADREALISTYCZNY SEN

Stary włóczkowski nałóg  
rad wyruszać w sen  
Są tam widoki i spotkania  
w sam raz dla nadrealisty  
niebo rozpięte  
od ziemi do ziemi  
ludzko przypomina kopułę Bramantiego  
a w niektóre noce kursuje po nim  
oksydowany Wielki Wóz  
trawa tam nie jest mową  
trzcina nie rozgłasza  
jakiego kształtu mam uszy  
las Birnam nie cofa się w popłochu  
na sto mil od dunzanańskich murów  
Na polu stoi nasz dom  
co godzina słońce pokrywa go świeżą blachą  
raz złotą raz różową  
dom nie uchyla daszka przed modami  
a tak w nim spokojnie  
że nawet nie lękają się doń przychodzą  
i szczytać na ścianach trawę  
jelenie z rykowiska  
Właśnie tam dobrnąłem umęczony jak ruda mysz  
może jak Zając Dygasińskiego  
a może tylko jak wychowanek Tönnlos  
Silnie łakne, więc piję wodę życia  
z siwej studni na korbę  
i już rzeźki  
szwędam się po starych kątach  
to chyba najbardziej instruktywny rednej turystyki  
prowadzę rozmowy z odeszłymi  
wyłącznie zdawkowe  
bo przecież pozostali  
Ale oto  
dobiągają do snu po mych śladach  
wywijając lasczkami spacerowymi  
koleczy z akademii wszelkiej scjencji pełnej  
Acephalus  
uśmiecha się obliczem na zewnątrz jamy brzusznej  
i właśnie jego język giętki  
powtarza wszystko co wymyśla głowa z cudzego biustu  
Chameleon  
co każdą ze zmiennych barw na porporcu  
po kolei za pacierz poczytuje  
Auritus  
biedak o jednym uchu  
za to rozmiarów ludzkiej normalnej postury  
wręszcie  
Cynocephalus  
co umie tylko szczeblem oceniać  
Po tym, że znaleźli się tuż przy mnie  
poznałem  
że właśnie wróciłem  
z nadrealistycznego snu

MIROŚLAW OCHOCKI

Ci ludzie opuszczeni świecą nad wodami.  
Przetnąsają powietrze. Czująją. Płynąją  
igłiwia snu. Na palcach podsluchują przestrzeń.  
Z otwartymi oczami — nie dmuchają w popiół.

Puste dźwięki, jak pyski ryb otwarte — bramy  
w pamięć bez wiatru, w pamięć. Gniew, miłość, nadzieja  
i tak dalej — płonące kiedyś telegramy O  
ciągle, choć już po wszystkim, świecą nad wodami.

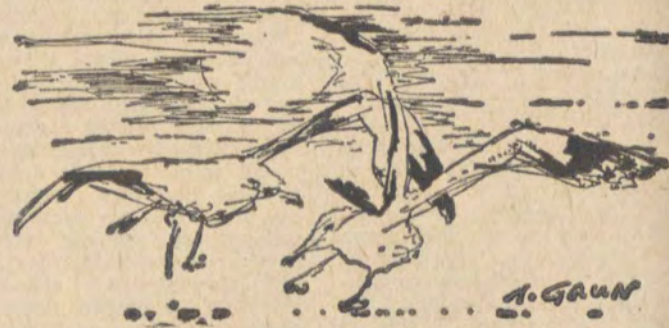


## STANISŁAW KASZYŃSKI MIGAWKA Z PRAGI

BOŻENCE

Na Wełlawie,  
tam w dole,  
niżej ściany ryczących pojazdów  
ruchome punkty ciemnopiórych kaczek.  
Caliują fale  
w migotliwym srebrze  
słońca.  
A nocą,  
pod ustami kochanków,  
drzemią na poręczach,  
śnią czujnie jak rękę.  
Tylko szarość i drżenie  
dźwigają ich kształty.  
I płyną śniąc.  
Na przekór dymom  
i ściekom.  
Aż do ocalenia Wody.

Praga, 8. IX. 75.



JERZY WAWRZAK



...a jeśli miłość wybrałeś tę trudną  
gdzie kwiat nie rośnie i ptak wody  
skrzydłem nie dotyka  
to ci zostało szukać w skamieninie ziemi  
odpukać echu co w niej jeszcze wola  
odwalać kamień w kropli wody szukać

...a jeśli miłość wybrałeś tę trudną  
gdy ciało w pocie jak w słonym strumieniu  
chyli twą głowę w bezkres wyobraźni  
a jastrząb w oku twym jeszcze szyje  
swą przegina  
otwieraj usta zamknięte na srebrny pieniążek

i noc podnieś krzykiem tak jak na początku.



JAN HUSZCZA

## BEZSENNOŚĆ

To nie było łatwe życie:  
ulewy, burze i zamiecie,  
lecz o chleb nie musiał bić się  
nikt, ani szastać się po świecie.

Piorunem burze groziły,  
samiec błędzeniem po bezdrożach.  
Wilki pod wieś podchodziły,  
wieczorniki kryły błysk noża...

...Powracają bzu okiście,  
każda wonią, fioletem krzyczy.  
I nigdzie tam nienawiści,  
przez noc dochodzi tręł słowiczy.

Czyżby zapachniał ser z kaminem?  
Czyjeś śmiechy słyszę wyraźnie!  
Mrużę oczy, przypominam  
ot, dziewczki kąpiące się w łaźni.

Ileż zdrowia, gdy rozgrzane  
wybiegły tarzać się w pokrzywach!  
Jeśli przy którejś przystane,  
widzę, że jest od dawna siwa...

...Na nic słowa zaklinania,  
nic nie otworzy się jak pąki —  
wszystko miejska mgła przesłania,  
choć i wyczuwam dom, jabłoni...

...Aż się nagle okazało,  
że z okolicy wiodą drogi  
we wszystkie strony, więc żalost —  
zmuszają zęgnąć to, co drogie!

Któż przypuszczał, że nie wróci,  
gdzie ulewy, burze, zamiecie;  
dzień powszedni, mało ucieszy,  
ale wszystko jedyme w świecie...  
(... Znów coś tyknąć, by zasnąć przecie!)  
Krynica, 16.11.1975





TADEUSZ GICGIER

# KAMIENNA

Rzeko  
która odwijasz nurt  
jak z kądzieli

wie  
ziemia  
z której ród wiodę  
po kądzieli,

wodo  
tyś opływała  
matki uda młode,

ten dreszcz  
do dziś go czuję  
weszła w wodę,

wirze  
wiruje wodny lej  
wiruje w głowie,

głowo  
zapiątana we włosy mokre  
w wierzby sitowie.

Powódź  
wyplątać się z niej  
stopa bosa

w piach  
na rękach ludzkich  
jak na noszach.

Pieje kogut  
chrapliwe pianie  
z oddalenia,

od wieczności  
od ciebie  
inna ziemia

przyjęła cię  
nie odda  
ja powracam

twym imieniem  
najcieńsza jaką znam  
praca.

Rzeko  
zrozumiesz mnie  
pracowita

byłaś  
jesteś  
na mękę przerabiałaś żyta,

poruszałaś turbiny  
koła młyńskie  
ludzi,

teraz ludzie  
poruszają cię —  
powodź

nie będzie  
ty ucichniesz  
zapienią się łąki

trawą  
w trawie jak w życie  
skowronki.

Pieje kogut  
skowronek wiejski  
z dalekości

białej  
dzień biały  
białe kości,

ten dreszcz  
we mnie i w tobie  
matko.

matko-rzeko.



JERZY WILMAŃSKI



Więc do ust uniesiesz tę szklanę goryczy  
albo ci żebra ściśnie zimna obręcz bólu  
Zadławisz się własnym słowem  
oślepniesz od mgły

Ile lat trzeba było  
ażby zrozumieć  
że nikt nie potrafi wybaczyć z miłości

Więc do ust uniesiesz tę szklanę goryczy  
więc ci żebra ściśnie zimna obręcz bólu



Ilustrował ANDRZEJ GRUN

JERZY JARMOŁOWSKI

## mit o początku

o jakże dumnie brzmi imiona nasze  
ponoć jesteśmy gdy ponoć wątpimy  
ponoć z chaosu ze słowa i gliny  
weszliśmy w księgi marmury i gwasze

i ponoć wiemy też dokąd spieszymy  
znamy to miejsce w przestrzeni i czasie  
wszak myśmy Szivy Buddy i Mesjasze  
o jakżeż my się ludkowie bawimy

a snem insektów jesteśmy okrutnym  
zmyśleniem pluskwy wszawą opowieścią  
w biesiadzie prapcheł iartem balamutnym:

— śniłam dziś siostry jakąś krwistą wielkość  
mogłam ją wyśnić lecz niech z wiek poczeka  
— może by kota

— jest —  
— wyśnić człowieka

TERESA GABRYSIEWICZ-  
KRZYSZTOFIKOWA

# CYGANKA

Nie wróżyła  
z kart z ręki z imienia  
zbytą egzotyki  
Może tylko oczy  
głębiej wrysowane  
jak w obliczach z Farras  
i barwisty obłok  
spódnic  
ocalała

Szerniała płatki krwi  
na wargach  
nie miały wdzięku  
dzikiej róży  
spod powiek  
stać się zwykły lęk i ból  
Straciły moc  
czerwienne asy  
Wzwałam pogotowie



BERNARD SZTAJNERT



Nie sen nie jawa ale wszystko ze mnie  
Ale co z ludzi którzy nadaremnie  
Czekają snu lub przebudzenia  
I noc się w dzień i dzień się w noc przed nimi zmienia  
I słowa szukają pełnego a ono przekłete i puste  
Ptak krzyczy za oknami jak szatan w Eksklezji  
Skończony już w Piśmie, skończony w poezji  
Ciemność dnia światło nocy  
I tyle mają do pomocy  
Co nie oczyma widzą ale usty  
O ludzie dziennych nocy i ludzie dni nocnych  
Ja znałem tego, który wam mógł być pomocą  
Ale On umarł przed ukrzyżowaniem  
Bo poznał śmierć i życie i wzgardził zmartwychwstaniem.

KONRAD FREJDLICH

# RONDO

spośród tylu oddaleń czułość cię moja wynosi  
na brzeg co się w pamięć gwałtownie poszerza  
a teraz ziół zapachem cierpkim ogromnie  
w wermutu słodycz mączącą nam zmysły

spośród tylu oddaleń odgadujemy się zawsze  
snem pachniesz  
i łąka jest w twoim oddechu gdy biegniesz  
odurzona bielą tarniny  
i bielą swojej skóry odurzona  
a sny masz pachnące gdy inne  
uczają się w nich tylko kolorów  
i znajdują je rano splowiałe  
razem z ubraniami na oparciu krzesła

pośród tylu oddaleń zawsze dla siebie jesteśmy  
w ciszy  
którą pokrzyk tylko zakłóca kwitnieniem  
i pod drzewem gromu płonącym na wietrze  
gdy zwęglonym konarem glucho spada w ciemność  
pośród wszystkich oddaleń unoszą się z sobą



JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

# BÓL

PAMIĘCI BOŻENNY

Od bólu zacząć — wypełniony szczerze  
niech mnie przywróci teraz zwykłej ziemi  
bo mieszkam w soli od popiołów idę  
w obłok i drzewo i metal i kamień

ta jest mi droga

— nie kryj się w historię  
gdzie cię przedłuży trucizna lub szpada  
czy młot królewski ten którego stada  
przebiegną blade kartki marnej księżki

ból cię przywróci oto bólu kresy  
w twe zwykłe ziemskie nadmierne wymiary  
kiedyś ziemskiego lotu jeszcze niesyt

więc nagle schodzisz by odzyskać wiarę  
że ból twój niesiesz jej jedynej w dani  
co włada bólem kamieniem korozją

JERZY WALEŃCZYK

## À PROPOS POGODY

Wyświadczyliśmy sobie przysługę,  
Przeprowadziliśmy linię ode mnie do ciebie.  
Praktykujemy barwy, pewne racje,  
Zanurzona jasność w zmrok lasu,  
Gdzie Dante drogę stracił.  
Wierzmy pierwszej chwale, przypadkiem bez aranżacji,  
Ekspandujemy na piersi kobiet,  
Nosimy tytuły niekiedy zawstydzeni. Jeszcze  
Jak chciał Bernard Shaw. Ujądanie,  
Wycie nocą na wybrzeżach raczej  
Nieznanych miasteczek.

Nasz wybór padł jak nóż na stół  
Po ukrajanju chleba.

Atawistyczne światło, zaskoczona,  
Doświadczenie.  
Aleja duchów,  
Ale nie z Böcklina.  
Śnieg z deszczem.  
Przeklinam.

IGOR SIKIRYCKI

## TREN NA NAGŁĄ I NIESPODZIEWANĄ ŚMIERĆ rzeki WIDAWKI

O błędzie ludzki! O szalone dumy!  
Jako to łatwo pisać się z rozumy,  
Kiedy po woli świat mamy, a  
Człowieku zdrowa...  
glowa  
JAN KOCHANOWSKI

O rzeko moja!  
Struno krajobrazu  
Siostrzo źródeł głębinnych  
I Grabii jako iza czystej  
Byłaś  
Kołczanem blasku  
Zgubionym w zieleni łąk  
Lusterkiem bełchatowskich brzózek  
I zwierciadłem szczercowskich sosen  
Byłaś  
Aorta życia łaknącej ziemi  
Byłaś  
Partyturą dziejów wiejskich zagród  
Przychyliną pastuchom i młyńskim kamieniom  
W Dzbankach Zagrodników i Sarnowie  
Nad twoim dnem  
Usianym złotą łąką piasku  
Snuli się cienie dostojnych jazi  
Kleni bystrych jak lot strzały  
Boleni oklaskujących pletwą  
Zręczność swego ciała  
Leszczy wykutych z księżycowego blasku  
I zielonych okoni  
Pragnących połknąć cały świat  
Tobie jaskółka pisała w locie  
Monogram burzy  
A rybitwa sierpem skrzydła  
Żeła nitki ulewy  
Układając je w stogi tęczy  
Nad tobą ważki — helikoptery skrzatów  
Szukały startu w krainie baśni  
A pochylone olchy  
Koiysały gniazda  
Rodzącej się muzyki lata

I oto  
Szalony drwał naszych czasów  
Uderzył obuchem topora  
W twój wysięty kregosłup  
Rzeko  
Śmierć twoją niepotrzebną  
Jak śmierć żołnierza  
Po otrąbionym zwycięstwie  
Ważę na szali słów  
I układam  
W strofy trenu

Kwiecień 1975

# ARS POETICA CZYLI O POŻYTKACH FACHOWOŚCI



trafi wypowiedzieć tego, co pomyśli głowa, albo publicystyka na temat roli poezji lub na inne tematy, nawet wcale nie związane z poezją, czasem pod hasłami: frzeba by coś pominiętego tesseze opisać. Są wyjątki, owszem, np. Cz. Miłosz, M. Skwarcini, J. M. Rymkiewicz. Ale właśnie oni spotykają się z zarzutem estetyzmu, braku związku z rzeczywistością. A przecież nie chodzi o nie inne, jak tylko o to, by skoro już ktoś postanowił zostać wierszopisem, posiadał pewną kulturę literacką. Co z nią robi — to już inny temat dyskusji. Śmiem twierdzić, iż w tej chwili mniej ważny, gdyż zapatrzni w wielką rolę literatury, nie zauważamy jak nam to narzędzie kruszeje, niszczeje, jak staje się niezdolne do niczego. Zostawmy geniuszy w spokoju, oni i tak nie dają się zaprogramować. Zadbajmy o poziom poezji codziennego użytku.

Może sytuacja dzisiejsza jest nieodwracalna. Trwa ona przecież już około stu lat. Umocnił się model literatury romantycznej. Wszystko tonie w powodzi boskiego szalu i belkoftu. Dopiero czas bezwzględnie oddziela bardzo wielkich pisarzy od wyjątkowo nieudolnych grafomanów. Można sobie polepszyć, że to się oplaca, może lepiej mieć Norwida i Mickiewicza przy ogólnie bardzo nędznej literaturze, niż Krasińskiego i Trembeckiego przy ogólnie dobrym poziomie. Może tak, jeżeli zlekceważymy czytelników. Przy ogólnym braku kultury powstanie w końcu takie śmieciowisko to mów i to mów, że nie tylko nie będziemy w stanie odnaleźć w tym przerezonanym Norwida, ale i już uznani wlecy w nim zgina.

Jedną z najprzykrzejszych rzeczy we współczesnej poezji jest lekceważenie czytelnika. Jedni tworzą własne wspaniałoci nie troszcząc się o ich komunikatywność, inni jak już nastawia się na komunikatywność, to piata albo banały, sugerując tym, że nie ma inteligentnych czytelników, albo wreszcie, co staje się najnowszą modą, prawia mu narretne kazania wma-wianac, iż w swojej niższości powin-ni natychmiast poddać się woli poety — wszędo, arysto-kracyjnego. Wszystkie nachalne „ly” lub „wy” w wierszu bynaj-mniej nie są przejawem demo-kracji. To nie jest żadne równouprawnienie autora i czy-telnika. To próba terroru autora w stosunku do czytelnika. Nie-stety, cokolwiek by powiedzied o rzeczycytwielich autorach, analiza podmiotu wiersza musi pro-wadzić do takich wniosków.

Z drugiej strony to lekceważenie czytelnika jest formą ulegania mu. Tworzy się przedziwny układ zależności, w którym i autor i czytelnik traca swoją niezależność. Problem jest znany wreszcie od bardzo dawna. O rozsądek w tych sprawach walczono choćby w XVI wieku, co można poświadczyć, z braku pod ręką dokumentów starszych, Lat-

wo dostępny jest tekst L. Castel-vetro:

„Zaiste poezja nie ma ani początku, ani środka, ani celu w boskim szale udzielanym poetom Muzy czy Apollona, taka jest tylko opinia ordynarnego tłumy; wszakże poeci, aby wydać się czymś cudownym i godnym uwagi w oczach ludzi, przyczyniali się sami do tego poglądu i jeszcze go wzmagali, wzywając pomocy boskiej i udając, iż ją otrzymali”.

Zwykle romantyczne teorie geniuszu są najwyczałniejszą pu-lapka dla niedoświadczonych pi-sarzy. Mickiewicz czy Słowacki mogli sobie pozwolić na wyjście poza klasycystyczne rygory. Nie zapominajmy jednak, że zanim obydwa zdobyli się na samo-dzielność, byli piątkowymi ucze-niami w szkole klasyków. De-świadczenie drugiego pokolenia poetów romantycznych uczy, jak trudno nie popaść w śmieszność, będąc genialnym od debiutu.

Poeci niezbyt chętnie dzielą się tajemnicami własnego warsztatu. Od dawna wreszcie wiadomo, że to, co najistotniejsze, chwytia się intuicją. Stroniono więc od da-wania receptur na genialność. Jakże zbawienne jednak były receptury na poprawność. Ich wagę widać zwłaszcza w jakości przekładów poetyckich. Jakże niewiele po prostu poprawnych dał romantyzm, mimo ogromnej ilości tłumaczonych dzieł, jak dużo przekładów zrobionych przez klasyków do dziś jest nie do zastąpienia, nawet tak śred-niej miary poetów, jak F. Dmo-chowski, któremu zawdzięczamy polską „Iliadę”.

Poetyki XVI, XVII, XVIII w. były więc szkoła pisania i czyta-nia. Są one dziś z reguły trudno czytelne, po prostu nudne. Ale nie zapominajmy, że pełniły one taką rolę, jak każdy podręcznik — po opanowaniu wiedzy w nim zawartej zwykle się go pozby-wamy. Większość ich wreszcie była wyraźnie adresowana do młodych pisarzy. Jeszcze Dmo-chowski na początku wieku XIX deklarował: „Co jest istotną cecha dobrego poety? „To ja zamyslał śpiewać dla światła młodzieży”. Dopiero romantycy zrezygnowali z podręcznikowego charakteru poetyki. Zajmowali się przede wszystkim granicami i możliwościami własnej, indy-widualnej twórczości. Ze wzglę-du na prestiż oryginalności zniszc-zona została prawie całkowicie możliwość istnienia szkoły pi-sar-

skiej. Każdy był zobowiązany do robienia wszystkiego od samego początku. Jednak ilu, nie chodząc do szkoły, mogło na własną rękę nauczyć się pisać? Znakomicie paradoksy tej sytuacji zanalizo-wał Paul Valéry:

„Począwszy od romantyzmu naśladować nielzykłość, zamiast jak dawniej naśladować mistrzo-stwo.

Instynkt naśladownictwa pozostł ten sam. Człowiek współ-czesny dodaje do niego sprzecz-ność.

Mistrzostwo, jak na to wska-zuje geneza tego słowa, polega na tworzeniu pozorów, że to my kierujemy środkami artystycznymi, zamiast, żeby widoczne było, że to one nami kierują.

Osiągnięcie mistrzostwa wyma-ga więc nabycia obyczaju wy-chodzenia w myśleniu czy kom-binowaniu od środków i obmy-słania dzieła wyłącznie w opar-ciu o środki: nie należy nigdy rozpoczynać utworu od tematu czy efektu, które wyobraziłoby sobie w oderwaniu od środków.

Bywa, że dzięki temu mistrzo-stwo uważane jest za wadę i zostaje przeczywione przez kogoś oryginalnego, kto dzięki szczęściu lub darowi stwarza nowe środki — wywołując na pierwszy rzut oka wrażenie, że stworzył nowy świat. Ale zawsze są to tylko środki”.

Wydaje się, że od indywidual-ności i oryginalności nie ma już odwrotu. Tak więc klasycyzm z ich szkołami i podręcznikami mogą pozostać co najwyżej wizją nieosiągalnego już złotego wieku. A jednak poezja to przecież nie tylko ekspresjonowanie się twórcy. Jeśli już chcemy ją traktować jako wy-powiedź, pomyślimy nie tylko o tym, kto mówi, ale i o tym, kto ma słuchać. Dziwne, że w cza-sach, gdy wszystko niemal w kulturze chcemy traktować jako język, w poezji pozostajemy przy formule wczuwania się, współgrania dusz, emocjonalnego odbioru itd. Czyż tutaj nie potrzeba dyskusji choćby na temat, jak użyć w wierszu słowa „plak”, by oznaczało ono po prostu płaka, a nie poecie, pośrednika między ziemią a nie-bem, nietrwałości, piękno, lot-ność itd. Czyżby tak bardzo nie interesowało poetów, co ich wiersze komunikują czytelniko-wi? A w tej ludo znakomicie się zmieścił coś bardzo podobnego do

klasycystycznej poetyki — będzie to po prostu informacja o naj-bardziej efektywnych sposobach posługiwania się słowem.

Rzecz nie sprowadza się tylko do fachowych spraw samych po-etów. Drugą stroną wyolbrzymia-nia roli poezji była rezygnacja z szerokiego kręgu czytelników. Poeta powoli zaczął wstydzid tego, że go ktokolwiek rozumie. Nie mógł już zrezygnować z po-stannictwa, ale nie mógł rów-nież nie zauważyć, że wysłuchuje go niewiele i raczej z pobłażli-wością. Tutaj często rozdziła się nienawiść do czytelnika. Jej ist-nienie poświadczały nawet naj-bardziej współczesne teksty.

W kontekście współczesności szokująca mogłaby być postawa Kochanowskiego: „Nie kupileś, jedno fraszki”. I na pewno nie było w tym nic z kokieterii. Kochanowski znakomicie wiedział, jak zalecić swoje dzieło. Nic z postawy wieszaka. Jeżeli uznał, że zrobił coś pięknego, zaczęno, nie wstydzid się zwrócić na to uwagę czytelników. Nie odma-wia z nimi współpracy. Co prawda wtedy poeci mieli świad-omość, iż pragną tworzyć rzeczy piękne. Dlatego nie wstydzid się mówić o pięknie literatury. Dziś piękno poezji zepchnięto zostało raczej do podświadomości. Poeta wstydzid się pisać pięknie, by go nie posiadono o estetyzo-wanie. Tak więc odgrada się od czytelnika. Falszuje własny do niego stosunek. Nie stać go na reklamę własnych utworów, jaką posługiwali się np. poeci renesansu. Przeciwnie, sugeruje, że czytanie go jest być może nie-wdzięcznym, ale patriotycznym obowiązkiem czytelnika.

Tych kilka tekstów poetyckich dodanych do niniejszych uwag być może wskaze tereny penetra-cji, zapomniane przez wielu twórców. Może jednak warto i tutaj odnaleźć własne miejsce w pewnym rząwym się ciągu. Może właśnie teraz, gdy aż na-zbyt wiadomo, że pojęcia „treść” i „forma” straciły swój sens, frzeba uważnie przepatrzyć je-zyk poezji, zbadać to narzędzie, którym się posługujemy, poznać jego możliwości i ograniczenia, a i może nauczyć czegoś czytel-nika.

JERZY PORADECKI

BARTŁOMIEJ ZIMOROWIC

WINIARZE

(fragment)  
Pełna niedozrzech nasza poetów ożyzma,  
Ze miary zawieszona nie ma już Polsczyzna.  
Lada partacz wyrwie się z pospolitych ludzi,  
To w ersze n'oczesny natychmiast naskud!  
Przedtem rzadki kto Muzy jak świętości ruszył,  
Tylko kogo swym duciem Cyntys napuszyl,  
Teraz lada kto z nimi swata się po prostu!  
Jeszcze nie umie kolia zawiązać i cawostu,  
A już słowem ogony zawiązał, na rzczy.  
Nie znając się, jak sroka kolo plotu skrzeczy.

JAN ANDRZEJ MORSZTYN  
DO JANA GROTKOWSKIEGO  
(fragment)

Możed twój wierszem dowcip żyzny  
I z terażniejszym, i z upadłym Rzymem,  
Ale ty, pomniac prostotę ojczyzny,  
Mów z nią domowym, nie przewożnym rymem,  
I swojej matce nie zadaj tej blizny,  
Żebyś językiem miał piisać pielegryzmem,  
Bo ona widząc rym twój tak przebrany,  
Śmie swoje nad Rzym przekładac Słowiany.

FRANCISZEK KSAWERY DMOCHOWSKI  
SZUKA RYMOTWIERCZA  
(fragment pieśni pierwszej)

Czytać dawne języki i obec rozumieć  
Dobrze jest, lecz odczytać trzeba napród umieć.  
Choćbyś myślisz wysoko, latwym piszesz piórem,  
Bez języka nie możesz być dobrym autorem.

CYPRIAN KAMIL NORWID  
Z „RZECZY O WOLNOŚCI SŁOWA”

Polsciemu językowi na czym z rodu zbywa?...  
Na literze — to jego strona jest wątpliwa —  
Nie na słowie, ni słowa duchowym bogactwie,  
Ni jego włókna srebrnych; raczej — na ich piękawie.  
Litera u nas słuszenie nie była pojęta  
(Może Achilles winien, lecz to jego pięta),  
Litera za rzecz była uważana szkolna,  
Kiełzającą umysłnie, nie bezwlasnowolna,  
I ani jeden głos się nie podniósł z otwartą  
Myślą, że ona częścią słowarównie warcy!

TADEUSZ RÓŻEWICZ

GŁOS ANONIMA

Tak długo kształtowałem  
siebie, na kształt i podobieństwo  
nieczego  
formowałem to oblesie  
na kształt i podobieństwo  
wszystkiego  
wreszcie zacierają się rymy,  
moje słowa  
nie dziwią się sobie

RAFAL WOJACZEK

PRÓBA OSTATNIEGO WIERSZA

Już w zgodzie ze snem nie napiszę ciebie,  
Wierszu, moja męko, nędzo i wielkości,  
Nudo, rozpacz, głódzie i szalenie.  
Nie polięz cie na palcach szaleniej zory.  
I nie wysłowię cie do widru gwiazdzid:  
Tak wysoko we krwi śpiewa, że aż boli.  
I słabej głowy szkło narzecze pięknie,  
A ty mi się, wierszu, jeszcze nie polozysz.  
Zagadną dlonią na głowie bolesnej,  
Ani nigdy w niemej zgodzie z duchem mowy,  
Podług nadziei partytury jednej,  
Nie wygram.

**ROSA BAILLY** — legendarne już niemal uosobienie przyjaźni francusko-polskiej, założycielka (w 1919 roku) i sekretarz generalny towarzystwa Les Amis de la Pologne, orędowniczka sprawy polskiej w czasie dwu ostatnich wojen i w okresie walki o przyłączenie Śląska do Polski, opiekunka żołnierzy polskich we Francji, prześladowana za tę działalność przez gestapo, a przy tym wybitna poetka i propagatorka literatury polskiej, odznaczona Krzyżem Komandorskim Orderu „Polonia Restituta” i Złotym Laurem Polskiej Akademii Literatury — to osobowość niezwykle ciekawa i pociągająca. Dziś sędziwa pisarka (urodzona 14 marca 1890 roku) mieszka w Pau w Gaskonii, przepięknym mieście u stóp ukończonych przez nią Pirenejów, którym poświęciła kilka swych tomów poetyckich, m. in. „Montagnes Pyrénées”, „gródzone Prix des Lettrés Pyrénéennes” w 1935 roku. Mimo słabego zdrowia i osłabionego poważnie wzroku nadal aktywnie uczestniczy w życiu literackim i nie odmawia różnych wizyt i wywiadów.

Spotkanie z Rosą Bailly pozostawia niezatarte wrażenie. Żywy umysł, pełen ciekawości świata, a zwłaszcza najbliższych zawsze spraw polskich, liponująca zaiste pamięć, wywołująca z przeszłości wiedzę o rozległych dziedzinach życia literackiego zeszłego półwiecza, a nade wszystko dobroć, życzliwość osobista i szlachetność bijące od tej staruszki, niewioli i podbijają rozmówcę.

W rozmowie dominują głównie sprawy polskie. Autorka uroczej książeczki „Au coeur de la Pologne” („W sercu Polski”, 1936), nagrodzonej przez Akademię Francuską, utrzymuje serdeczne kontakty z miejscową Polonią, ale cieszy się także każdym przybywcem z Polski. Dowiedziawszy się, iż zajmuję się naukowo twórczością Jana Lechonia, przygotowując pełne wydanie jego poezji „Różyczka” (tak nazwał ją Boy-Zeleński) bardzo się ucieszyła. Natychmiast przypomniała paryski okres życia poety, gdy była z nim w bliskim kontakcie, opowiedziała parę anegdotów dotyczących biografii autora, ale oplakany ataché kulturalny”. Dowodem jego antytalentu organizatorskiego był np. „galowy” obiad wydany na cześć Karola Szymanowskiego po prezentacji „Harnasiów” w Operze Paryskiej, na który gospodarz za pomocą i a i zaprosił prasę i noblii francuskich, tak że przyjęcie — przygotowane wystawnie na wiele osób — odbyło się we troje: Szymanowski, Lechoni i Rosa Bailly.

Autorka „La flamme et la rose” („Plomień i róża”, 1940), zbiorku poświęconego Polsce i w związku z tym w całości zniszczonego przez gestapo, uznając wartość poezji Lechonia i doceniając znaczenie jej calosciowej edycji, nie gustuje wszakże w tym typie poetyckiego aryzmu. Wyznaje, że jest on dla niej zbyt oklasyczony; jej ideałem poetyckim jest natomiast liryka Marli Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, na której wspomnienie twarz rozmowczyni zapala się blaskiem wzruszenia: — „To najlepsza poetka polska i najlepsza moja przyjaciółka!”

Rejestr zasług Rosy Bailly dla Polski jest jak wielki i na ogół znany (ostatnio pisał o niej „Tygodnik Polski” nr 15/1975 i „Nouvelles Publications Polonaises” nr 9/1975), że nie ma chyba potrzeby ich tu wliczać. Wszakże za „koronę swego życia” autorka uważa „Historię Warszawy” — opus magnum, któremu poświęciła dziesięć lat studiów źródłowych w archiwach polskich i francuskich, książkę opatrzoną przez prof. Lorentza entuzjastyczną recenzją, ale... do tej pory nie wydana. Rosa Bailly odnotowuje ten fakt z pewnym żalem i gorczą, twierdząc że nie ma sil ani funduszy, by sprawę tę nadać pomyślny obrót. Do „Historii Warszawy” można by odnieść słowa przedmowy do „Au coeur de la Pologne”: „Sądze, że odkryłam ją i ją, jaka jest ze swym nieprzpartym urokiem, który płynie nie tyle z jej piękna, ile z jej duszy”.

Na propozycję ponownego odwiedzenia Polski, autorka „Historii Warszw-y” ciepło się uśmiecha: — Zapewne na tamtych świecie podróże nie będą ciężkie i kosztowne. — Mówi to z ujmującym uśmiechem, ze wzrokiem pełnym powagi i zadumany.

## Z ROSĄ BAILLY ROZMAWIA WANDA NOWAKOWSKA

# MUSIMY BYĆ OBECNI

Dalszy ciąg ze str. 7

przecież nasze działanie będzie można rozszerzyć na inne. Nawet będziemy musieli to uczynić, bo przecież tuż obok nas, w Belchatowie, powstanie od podstaw całe zagłębie przemysłowe, będzie się na naszych oczach tworzyła klasa robotnicza.

Drugie zagadnienie, którym chcemy się zająć jako organizacja partyjna, to młode pokolenie Polaków, tych, którzy urodzili się w czasach pokoju i nie znają, na szczęście, okrucieństwa wojny. Obraz tego nowego pokolenia nie znalazł dostatecznego odbicia w literaturze i spowodowane to chyba jest nie tyle brakiem dystansu, ile brakiem znajomości rzeczy. Najlepiej wypowiedzieliby się pewnie na ten temat sami młodzi, ale tych właściwie nie ma w naszym związku, jeśli przez młodych rozumiemy będziemy dwudziestolatków wkraczających dopiero w życie. Zresztą i my, należący do innej generacji, także mamy prawo podejmować te zagadnienia, choćby porównując dwie różne młodoci. Dlatego też powołaliśmy komisję do współpracy z młodzieżą, żeby lepiej poznać jej problemy.

— Padło tu słowo „młodzi”. A jak przedstawia się w naszym oddziale sprawa literackiego zaplecza? Mam na myśl

Kolo Młodych, które działa przy ZLP.

— Przede wszystkim zagadnienia tego nie można zawęzić do działalności Kola Młodych, w którym działa wielu utalentowanych adeptów pióra, aczkolwiek są i tacy, którzy pokładanych w nich nadziei nie potrafią jakoś spełnić. Zresztą zdarza się i tak, że najwartościowsze talenty nie lgną jakoś do tego przedsonka literatury, jakim są Kola Młodych działają, że unikają zbiorowej sily przebiecia, którą zdaje się obiecywać ta forma mecenatu nad literacką młodzieżą.

Istota problemu leży we właściwej polityce wydawniczej, bo dziś debiutant stanowczo zbyt długo czeka na swą pierwszą książkę, podobnie zresztą jak na następną, a wymaganie statutowe ZLP są surowe, kandydat do naszego Związku musi posiadać dwie książki, aby jego podanie zostało rozpatrzone. Tym właśnie tłumaczy się fakt, że tak mało jest w szeregach ZLP ludzi rzeczywiście młodych, że niezależnie od naszych chęci jesteśmy organizacją „wiekową”. Egzekutywa naszej POP przeprowadziła rozmowy w Wydawnictwie Łódzkim, które obiecało swoją pomoc, ale oczywiście potrzeba na jest ostrożność, bo pewnych procesów sztucznie przyspieszyć nie można, bo talent musi być poparty pracą.

Może ja sobie zbyt wiele obiecuję, ale Dom Literatury, o

którym już tyle mówiliśmy, stworzy także pewną perspektywę do startu dla młodych. Jeżeli Wydawnictwo Łódzkie może wypuszczać rocznie w świat zaledwie pięć — sześć tomików wierszy (debiutanci wszak to na ogół poeci) trudno czekać z założonymi rękami, bo przyszłość naszego środowiska, jeśli nie jest nawet zagrożona, to wszakże przedstawia się nie najlepiej. Tymczasem posiadając kserograf możemy, organizując spotkania autorskie młodym, powieścić jednocześnie ich utwory w 300 — 400 egzemplarzach i ta forma publikacji będzie jednocześnie i pierwszym życiowym sprawdzianem, próbą dotarcia do czytelnika.

Zresztą my nie mamy pełnego rozeznania w tych sprawach, nie posiadamy bowiem klubu otwartego dla wszystkich i sporo debiutantów nie potrafi po prostu nawiązać z nami kontaktu.

Chciałbym jeszcze dodać, że wiele z podniesionych tu przez mnie spraw było dyskutowanych zarówno przez Egzekutywę POP jak i przez Zarząd Oddziału, z którym ściśle współpracujemy. Oczywiście nie zamierzamy Zarządu wyreczać w jego działaniu na rzecz środowiska, nie zamierzamy także zrezygnować z własnych inicjatyw o charakterze politycznym, bo jako członkowie partii mamy określone statutowo obowiązki.

Rozmawiał:  
KONRAD FREJDICH

# ART — NADZIEJA NIE TYLKO ŚRODOWISKA

Nauczyliśmy się już chodzić na wystawy artystów malarzy. Podziwiamy zakończone dzieła w postaci pomników, rzeźb lub innych akcentów plastycznych. I na tym przeważnie kończy się nasza wiedza o twórczości środowiska, które podobnie jak wszystkie inne ugrupowania specjalistów, jak wszyscy ludzie pracy, na co dzień tworzy nową polską rzeczywistość. Wiemy jeszcze i to, że artysta plastyk to ktoś taki, kto może i powinien udekorować nam jakieś miejsce z jakiejś okazji okolicznościowej, bo okoliczności to rzecz ważna.

Co jeszcze wiemy o środowisku artystów plastyków?

Cheśmy pracować w wygodnych, funkcjonalnych i estetycznych wnętrzach naszych zakładów pracy — i słusznie. Przyjemnie przecieć pracować w takiej hali produkcyjnej bądź w takim biurze. Aby ten ważny dzisiaj warunek mógł być spełniony, potrzebne jest ścisłe współdziałanie twórcy budowanego obiektu i artysty plastyka. Problem to ważny dla gospodarki narodowej. Nad rozwiązaniem tego problemu współpracuje z władzami i nasze łódz-

kie środowisko artystów plastyków. Dotyczy to również rozwiązań przestrzennych, szczególnie nowych osiedli i miejsc wypoczynku. Brak ingerencji artysty plastyka przy projektowaniu tych nowych skupisk ludzkich powodował już nieraz niezadowolenie mieszkańców — bo wszystko takie monotonne, takie szare, takie koszarowe.

Inicjatywa łódzkiego środowiska artystów plastyków zbliżna jest z wytycznymi działania łódzkiej instancji partyjnej i z ukierunkowanym programem rozwoju miasta.

Jesteśmy jednak niecierpliwi. Każdy z mieszkańców Łodzi odczuwa jak szybko i dynamicznie przeobraża się miasto. Tempo modernizacji i rozbudowy w ostatnim okresie stało się dla nas zaskakujące. Trzeba więc pilnie dopuścić artystę plastyka do deski architektki projektanta już we wstępnej fazie opracowywania projektów, jeżeli chcemy, aby miasto piękniało.

Udział artysty plastyka w naszym codziennym życiu stał się koniecznością, a nie luksusowym dodatkiem. Chcemy posługiwać się przedmiotami codziennego użytku w funkcjonalnym

i estetycznym kształcie. Chcemy, aby kupowane przez nas przedmioty były estetycznie opakowane. Chcemy, aby całe wzornictwo przemysłowe wszystkich gałęzi przemysłu swoje finalne produkty oddawało nam do dyspozycji z uwzględnieniem walorów estetycznych tychże produktów. Czyli spotykamy się znowu z koniecznością działania artysty plastyka. Przykłady można mnożyć: od projektów znaków firmowych, folderów, katalogów, plakatów, poprzez wzornictwo tkanin, wystawianictwo przemysłowo-handlowe, poprzez architekturę wnętrz i rozwiązania przestrzenne, aż po propozycje rozwiązań elewacyjnych i neonizację — umownie nazywa się to działalnością gospodarczą Związku Polskich Artystów Plastyków. Ma ona wszakże również ważne znaczenie w kształtowaniu i upowszechnianiu kultury, podobnie jak wystawa obrazów, grafiki czy rzeźby. Zakres twórczy artysty plastyka poszerzył się na miarę współczesnych potrzeb i nie sposób ograniczać tej twórczości do „sztuki czystej”.

Aby więc podobać obowiązkowi, jakie spoczywają na środowisku łódzkich ar-

tystów plastyków, środowisko to powołało własne przedsiębiorstwo twórczości plastycznej: Łódzkie Zakłady Artystyczne „ART” Związku Polskich Artystów Plastyków. Nie chodzi o wyliczanie wszystkich realizacji plastycznych za pośrednictwem i pod kierownictwem organizacyjnym Zakładów „ART”. Wystarczy stwierdzić, że „ART” okazał się potrzebny Łodzi i regionowi, że jego funkcjonowanie wiąże się z potrzebami społecznymi, bowiem środowisko plastyczne powinno, może i chce odpowiadać na wszelkie uzasadnione celowości potrzeby społeczne, a może wykonywać te zadania poprzez swoje własne przedsiębiorstwo, któremu wytycza i określa kierunki rozwoju kluczowego.

Łódzcy plastycy otrzymali zielone światło do otwierania własnych pracowni pomocniczych przy swoich własnych Zakładach Artystycznych „ART”. Chodzi szczególnie o takie pracownie i warsztaty pracy, których pozbawiony jest przemysł budowlany. Pracownie te będą mogły uzupełnić potrzeby naszej wielkiej łódzkiej aglomeracji o realizację jednostkowych elementów z pogranicza rzemiosła artystycznego, oczywiście elementów projektowanych i nadzorowanych przez twórcę plastyka. Potrzebne są więc takie warsztaty i odpowiednio wyposażone stanowiska do pracy w drewnie, w gipsie, w betonie, w metalu, pracownie ceramiczne i kamieniarskie. Potrzebna jest też pracownia propagandy wizualnej rozwiązująca kompleksowo dekoracje wyznaczonych punktów miasta i dekoracje w zakładach pracy.

Zapewne na tej drodze rozwojowej łódzkie środowisko artystów plastyków i jego zakłady artystyczne „ART” będą musiały pokonać niejedną trudność. Gwarancją pokonania tych trudności są dwa zasadnicze czynniki. Pierwszy z nich to dotychczasowe doświadczenie, dynamizm i zaangażowanie środowiska w odpowiadaniu na potrzeby społeczne, drugi zaś to racja nadrzędna, mianowicie ta, że sztuki plastyczne to także ważna działalność gospodarcza naszej współczesnej rzeczywistości.

**ZZYSŁAW BARANOWSKI**



Zenon Liberski



Stefan Just



Barbara Krawczyk



Marian Jaszczke



Jerzy Stanecki

GRZEGORZ SZTABIŃSKI

## SZTUKA I WSPÓŁCZESNOŚĆ

W artykule tym zajmę się jedną z istotnych cech sztuki współczesnej — jej wielofunkcyjnością. Cecha ta nie była dotychczas wystarczająco uwzględniana, a sądzę, że jest jedną z przyczyn nieporozumień powstających przy kontakcie widzów z plastyką najnowszą. Wciąż jeszcze bowiem bardzo silnie oddziałują dawne stereotypy estetyczne, w których dążenie do piękna stanowiło jedyny cel działalności artystycznej, a przeżywanie go w stanach estetycznej kontemplacji — jedyną funkcję dzieła. Momenty obcowania z obrazami były pojmowane wtedy jako chwile, gdy ustaje nasza zwykła, codzienna krzątanina i możemy całkowicie, w oderwaniu od świata i zwykłych soraw poświęcić się przeżyciom estetycznym.

Sztuka współczesna dąży do związania się z życiem codziennym. Chce uczestniczyć w przemianach zachodzących w nauce, technice i innych dziedzinach działalności ludzkiej. Chce włączyć się w nie, a nie tylko towarzyszyć im jako ozdoba, dekoracja, rozrywka. Dlatego też nie mieści się w dawnych, ciasnych granicach. Stawia sobie nowe cele, przekraczając w ten sposób dawne ramy wydzielonej, autonomicznej dziedziny kultury. Ekspansywnie wkrocza na nowe, dotychczas nie penetrowane obszary, dążąc do osiągnięcia zakresu tak szerokiego, aby uwzględnić wszystkie możliwe sytuacje, w których wyniki działalności artystycznej mogą towarzyszyć człowiekowi.

Ekspansywność współczesnych działań artystycznych wciąż wzbogaca, a więc i komplikuje, czyni bardziej złożonym problem odbioru. Już nie wystarczy bowiem wejść w przygotowaną, dobrze znaną rolę widza, ale trzeba też rolę tę wcielić się w niego. Jest to zaś konieczne, aby właściwie zareagować na występujące wciąż w innych planach i na innych obszarach rezultaty działalności artystów. Poszerzenie zakresu pozukiwania twórczych łączy się bowiem ściśle ze wzbogacaniem zasobu funkcji sztuki, zwiększeniem zasobu możliwości jej oddziaływania na odbiorców. Artysta zdaje sobie sprawę z tego i wysuwają ten problem jako jeszcze jeden obiekt swych rozważań.

Kwestia funkcji sztuki nie jest już bowiem obecnie czymś raz na zawsze ustalonym. Także ona podlega twórczym zabiegom artysty, który obecnie proponuje nie tylko rozwiązania warsztatowe, stylistyczne, nie tylko określa treść dzieła, ale także proponuje jego rolę, jego społeczny obieg. To określa, nie precyzowanie funkcji swych prac jest tak wyraźne, że nie może być pominięte, nie zauważone. Trzeba też, jak sądzę, traktować je jako swoista „wypowiedź” artysty. Może też stać się ono kryterium klasyfikacji, wyróżniania grup twórców, ze względu na spójność dla nich przyjmowanie określonej funkcji sztuki jako naczelnej i wyrażanie tego stanowiska w swych dziełach. Bo w sytuacji gdy sztuce przysługują wielofunkcyjność, już sam wybór jednej z ról takich może ona pełnić jest aktem twórczym, decyzją artystyczną.

Spróbujmy więc teraz spojrzeć z tego punktu widzenia na działalność niektórych malarzy łódzkich. Wyodrębnię grupy artystów uznających jakąś z funkcji sztuki za naczelną i decydujących się

na nawiązanie kontaktu z odbiorcą za jej pośrednictwem. Pierwszą z takich grup, zupełnie wyraźnie się wyodrębniającą, są twórcy dla których rozwiązanie problemów społecznych i politycznych naszych czasów jest zagadnieniem najistotniejszym. Dla ich ukazania korzystają z języka sztuki przedstawiającej, figuratywnej. Język ten, ze względu na swą nośność społeczną wydaje się być najodpowiedniejszy dla celu, którym jest poinformowanie, bądź przypomnienie najościwszych problemów współczesności i niedalekiej przeszłości.

Wśród przedstawicieli takiego pojmowania funkcji sztuki wskazać należy Wiesława Garbolskiego, Benona Liberskiego, Leszka Różę i Andrzeja Sadowskiego. Oczywiście nazwiska te wymieniam przykładowo, gdyż uważam dokonania tych artystów za najbardziej znaczące w ramach omawianej koncepcji. Łączy ich ona, choć każdy dysponuje własnym zasobem możliwości, środków artystycznych dla jej realizacji. Wpływa to na zdecydowanie indywidualny, osobisty sposób rozwiązywania prac przez każdego z nich. U Garbolskiego aktualne problemy przekształcają się w metaforę, w przypowieść o losach człowieka lub społeczeństwa, której sens staje się ogólnoludzki i ponadczasowy. U Różę natomiast podejmowane zagadnienia nabierają ostrej wymowy etycznej i moralizatorskiej. Wzruszenie faktu, konkretnie, oceniają natomiast twórczość Liberskiego i Sadowskiego, którzy mają tendencje reportażowe.

Jednak nie każdy z odbiorców szuka w sztuce problemów społecznych i politycznych. Często bardziej potrzebne są nam osobiste, intymne refleksje o życiu człowieka, jego radościach, troskach, nadziejach i marzeniach. Znalazł je można np. w grafikach Andrzeja Kabały, gdzie wspomnienia i wyobrażenia mieszają się z rzeczywistością. Także Barbara Szajdzińska-Krawczyk przedstawia nam subtelne poetyckie treści w swych obrazach. Ostrzejsze, bardziej drapieżne widzenie życia i losu człowieka występuje w pracach Mariana Kępińskiego, gdzie każdy element ma nośność symboliczną. Natomiast autorefleksyjna nie pozbawiona ironii lub autoironii można spotkać u Bogumiła Łukaszewskiego i Andrzeja Szonerta.

Rola sztuki współczesnej nie zawsze jednak sprowadza się do rozważania określonych treści. Stanisław Fijałkowski nie stawia określonej diagnozy, nie ocenia rzeczywistości. Dąży natomiast do „uruchomienia ludzkiej wyobraźni”. Obrazy przez niego wykonywane są celowo maksymalnie wieloznaczne, umożliwiają różnorodne konkretyzacje, sugerują rozmaite treści, aby wywołać nieskończony proces interpretacyjny, poruszyć świadomość widza.

Jeszcze inaczej pojmowana jest funkcja sztuki przez artystów nawiązujących do tradycji konstrukttywizmu. Tradycja ta jest żywa w środowisku łódzkim, a jej wpływ jest do dziś widoczny zwłaszcza w różnych formach projektowania przemysłowego. Przejawia się konstrukttywizm w racjonalnych zasadach organi-

zacji plastycznej zarówno obrazów, jak przedmiotów użytkowych. Wśród artystów łódzkich, którym bliższa jest tradycja konstrukttywistyczna (Lech Kunka, Stefan Krygier, Antoni Sierczewski, Bogusław Balicki, Stanisław Łabęcki, Andrzej Gierga i inni) wielu łączy działalność w zakresie malarstwa, grafiki lub rzeźby z projektowaniem plakatów, opakowań, wystawiennictwem itp. Funkcją działalności w zakresie sztuki użytkowej jest wyraźna oczywista. Bardziej natomiast problematyczna jest rola twórczości malarzkiej czy graficznej uprawianej przez tych artystów. W Strzemińskim, którego twórczość patronuje niejako sztuce łódzkich przedstawicieli post-konstrukttywizmu uważał malarstwo za laboratorium, gdzie opracowuje się formy, mogące następnie znaleźć zastosowanie w projektowaniu przemysłowym. Trudno rozstrzygnąć do jakiego stopnia ta koncepcja jest dziś jeszcze uwzględniana. Niewątpliwie są jednak zalety myślenia plastycznego, takie jak jasność, precyzja, logika konstrukcji, rządzące zarówno działalnością malarzką czy rzeźbiarską jak projektorską wymienionych artystów. Ważna też jest funkcja plastyki, którą preferują, polegająca na kształtowaniu nowego wizualnego otoczenia człowieka, nowej ikonosfery.

Omówiłem tu tylko cztery koncepcje funkcji sztuki proponowane za pośrednictwem prac przez artystów łódzkich, pominąłem wiele koncepcji zwłaszcza artystów zbliżających się w różny sposób do konstrukttywizmu. Jednak dla naszych potrzeb te cztery przykłady wystarczą, gdyż wskazują wyraźnie do jakiego stopnia miejsce dla sztuki w świadomości widza przewidywane przez współczesnych artystów różni się od tradycyjnych wyobrażeń o plastycie i jej funkcji jako „kontemplacji piękna”.

Czy znaczy to, że dawna koncepcja została całkowicie odrzucona, że nie ma już dla niej dziś miejsca? Oczywiście nie. Wciąż jeszcze pewna grupa artystów opowiada się za nią. Ale jest to już wolna decyzja podjęcie jednej z wielu możliwości. Dawna koncepcja utraciła wyjątkowość, a realizowanie jej to rezultat aktu wyboru jednej z funkcji sztuki. Sytuację taką uważam zresztą za normalną. W obecnym stanie kultury, który charakteryzuje złożoność form życia społecznego i systemów wartości, niemożliwe jest już bowiem sprowadzenie działań artystycznych do jednej wspólnej zasady. Wielości grup społecznych i różnorodności sytuacji życiowych w jakich znajduje się współczesny człowiek, odpowiadać musi różnorodność funkcji sztuki, jako części kultury ściśle związanej z życiem, towarzyszącej ludziom w prawie każdym okolicznościach. Zadaniem artysty jest natomiast, między innymi, szukanie nowych miejsc, w których mogłyby wkraczać ze swą działalnością. Bo praca artysty to ciągła czujność, ciągłe poszukiwanie nowych możliwości porozumienia z widzem, nowych ról jakie sztuka mogłaby pełnić w świadomości odbiorców.

## HIPOTEZY (XII)

Pozostałości po zapomnianych wielkich kulturach znajdują się prawie na wszystkich zamieszkałych wyspach Mórza Południowych. Niemożliwe do wyjaśnienia lecz oczywiste ślady rozwiniętej techniki wprost rzucają się przybywając w oczy, kusząc do snucia hipotez i wymyślenia teorii.

Dotyczy to w szczególności Wyspy Wielkanocnej.

Istnieje wiele wersji historii Wyspy Wielkanocnej i równie wiele teorii na ten temat. Po dziesięciu dniach pobytu nie mogę oczywiście stwierdzić co działo się tu w dalekiej przeszłości lecz wierzę, że znalazłem pewne dowody dla stwierdzenia tego, co nie mogło się wydarzyć.

Jedną z teorii utrzymuje, że całe pokolenie przodków Rapanui — obecnych mieszkańców wyspy — rzeźbiło mozolnie słynne posągi z twardej skały wulkanicznej. Krater Rano Raku — wulkanu znajdującego się na wyspie — wygląda obecnie jak gigantyczna pracownia rzeźbiarza, w której niespodziewanie przerwano pracę. C łowe, dopiero co zaczęte, na polu ukończone rzeźby leżą wszędzie w nieładzie. Ich waga dochodzi do 50 ton.

Thor Heyerdahl, którego cenię wysoko, opisuje w swojej książce „Aku-Aku”, jak znalazł w kamieniołomach setki porzucanych beładnie narzędzi kamiennych. Na podstawie tej ogromnej ilości prymitywnych narzędzi Heyerdahl doszedł do wniosku, że pewna nieokreślona liczba ludzi rzeźbiła tam posągi, po czym w pośpiechu porzuciła swą pracę. Ludzie porzucili narzędzia, pozostawiając je tam, gdzie pracowali. Z pomocą dużej grupy wyspiarzy, którzy pracowali przez 18 dni, Heyerdahl ustawił pionowo średniej wielkości posąg, używając do tego celu drewnianych belek w sposób prymitywny acz skuteczny, a następnie przetransportował go przy pomocy setki mężczyzn ciągnących liny.

Wydawało się, że w ten sposób teoria została praktycznie udowodniona. Jednakże archeologowie na całym świecie zaprotestowali przeciwko takiemu wyjaśnieniu. Po pierwsze, twierdzili oni, że na Wyspie Wielkanocnej nigdy nie było dość ludzi i żywności dla zapewnienia koniecznej liczby kamieniarzy, którzy mogliby wykonać ową ogromną pracę, choćby nawet w ciągu życia wielu pokoleń. Po drugie, archeologowie twierdzą, że żadne dotychczasowe odkrycia nie dostarczyły dowodu na to, że wyspiarze mieli kiedykolwiek do swej dyspozycji drewno na belki i walki używane do toczenia.

Po zastanowieniu się na miejscu, wydaje mi się, iż mogę stwierdzić, że teoria dotycząca narzędzi kamiennych nie ostoi się długo w świetle twardej, w sensie dosłownym, faktów. Po udanym eksperymencie Heyerdahla byłem zupełnie zdecydowany skreślić tę zagadkę z mej listy zagadek nierozwiązanych. Kiedy jednak stałem przed ścianą lawy w kraterze Rano Raku, zdecydowałem, mimo wszystko, że sprawa wymaga jeszcze wyjaśnienia. Zmierzyłem szerokość pasów lawy wyrabianych wokół poszczególnych rzeźb i stwierdziłem, że dochodziła ona do 6 stóp (180 cm) na długości prawie 105 stóp (ok. 32 metry). Nikt nie zdołałby nigdy wyciąć tak ogromnych kawałków lawy przy pomocy małych, prymitywnych narzędzi kamiennych.

Thor Heyerdahl kazał krajowcom kuć lawę w ciągu wielu tygodni przy użyciu starych narzędzi, których takie mnóstwo zostało odnalezionych. Widziałem nikły rezultat tych wysiłków: rowek o szerokości kilku cali w twardej skałe wulkanicznej! My także walliliśmy jak oszaleli w skałę największymi kamieniami, jakie udało nam się znaleźć. Po kilku setkach razów nasze „narzędzia” rozleciały się na kawałki, a skała była prawie bez żadnej rysy.

Teoria narzędzi kamiennych może być prawdziwa w odniesieniu do niektórych, mniejszych rzeźb, które powstały w okresie późniejszym, lecz w moim przekonaniu, jak i w przekonaniu wielu przybyszów odwiedzających Wyspę Wielkanocną, nie może ona być w żadnym wypadku przyjęta jako wyjaśnienie

kładąc do rzeźbienia prawie sześćuset posągów.

Nikt nie może też wyjaśnić, jakiej to zaawansowanej techniki używano do wycinania kamiennych bloków z twardej lawy.

Nikt dotychczas nie jest w stanie wytłumaczyć, dlaczego Polinezyjczycy —

genicznych łądowała przymusowo na Wyspie Wielkanocnej na skutek defektu technicznego. Ludzie ci posiadali ogromną wiedzę, skomplikowaną broń oraz znali sposób obróbki kamienia (wiele przykładow tego rozsianych jest po świecie) nieznaną nam. Przybysze mieli nadzieję, że będą poszukiwani,

także jako znak dla poszukujących ich przyjaciół, przybysze wykuli gigantyczny posąg ze skały wulkanicznej. Następnie wyrzeźbili więcej kamiennych obrzywków, które ustawili na kamiennych piedestałach wzdłuż wybrzeża, aby było je z daleka widać.

Aż nagle, bez uprzedzenia, nadeszła pomoc.

Wyspiarze zostali więc pozostawieni z zapasem napoczętych i w połowie wykonanych rzeźb. Wybrali przeto te, które były na ukończeniu i przez lata uporczywie walili w nie swymi kamiennymi narzędziami. Jednak około dwudziestu postaci, które były jedynie zarysowane na ścianie skalnej, oparło się kamiennym narzędziom. Na koniec, byliśmy tubylcy, którzy żyjąc bez myśli o jutrze — nawet obecnie nie palają chęcią do ciężkiej pracy — porzucili swą niewdzięczną robotę, odrzucili narzędzia i powrócili do prymitywnych jaskiń i chat. Twierdzą, że narzędzia kamienne są dowodem rezygnacji w obliczu zadania, które nie mogło być wykonane.

Wielu ludzi może wątpić w moją teorię, lecz muszą oni przyznać, iż wycinanie kamiennych kolosów z twardej skały wydaje się być dziecinną igraszką dla tych rzeźbiarzy.

Być może, było to tylko zajęcie podejmowane dla rozrywki. Może jednak rzeźbiarze mieli na myśli ściśle określony cel?

Czy pewnego dnia znudziło im się rzeźbienie posągów? A może otrzymali rozkaz, który zmusił ich do zaprzestania zabawy?

W każdym razie, rzeźbiarze zniknęli nagle.

Wiadomo, że Moais (tak wyspiarze nazywają posągi) miały kiedyś na głowach czerwone kapelusze wykonane z materiału pobieranego z innego kamieniołomu niż reszta posągu. Kapelusze mają około 25 stóp obwodu (7,5 metra), a ich wysokość równa się 7 stopom i 3 calom (215 cm). Włożenie takiego nakrycia na głowę znajdującą się na wysokości 33 stóp (prawie 10 metrów) musiało być nie lada sztuka.

Po co jednak w ogóle wkładano te czerwone kapelusze na głowy posągów? Nie znalazłem dotąd przekonującego wyjaśnienia tego faktu w całej literaturze dotyczącej Wyspy Wielkanocnej. Dlatego zadaję sobie następujące pytania:

Czy wyspiarze widzieli „bogów” w hełmach i pamiętały o tym fakcie, gdy przyszło rzeźbić posągi?

Czy był to powód, dla którego posągi nie wydawały się wykonane bez kapeluszy-hełmów?

Czy kapelusze mają wyrażać to samo, co helmy i aureole na rysunkach skalnych i ścianach jaskiń na całym świecie?

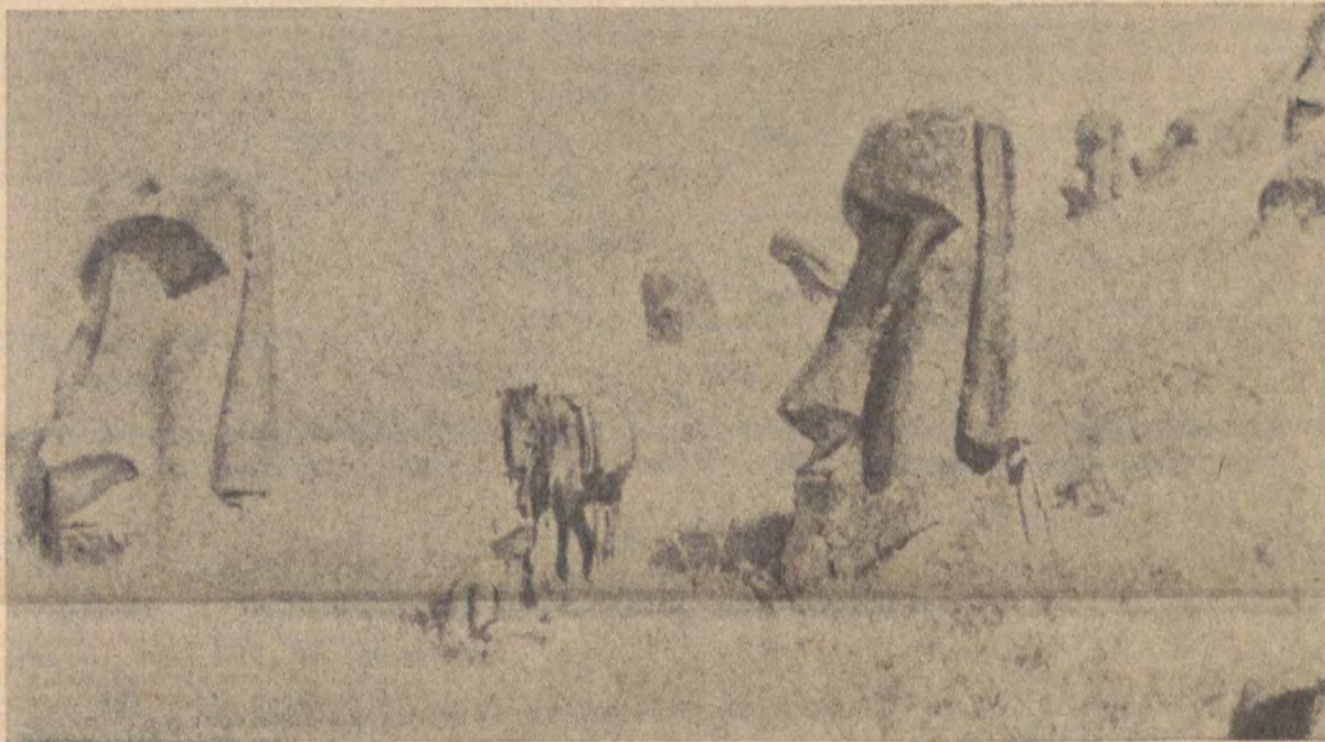
Kiedy pierwsi biali ludzie przybyli na Wyspę Wielkanocną, na sztykach Moais wisiały drewniane tabliczki z nieznanymi napisami. „Je nawet wtedy nie udało się znaleźć choćby jednego tubylca, który umiałby te napisy odczytać. Nieliczne z ocalałych jeszcze tabliczek nie zdradziły dotąd swych tajemnic.

Jest jeszcze jedna dziwna rzecz na Wyspie Wielkanocnej: kamienne jako o zadziwiających proporcjach. Według podań Rapanui, jako to leżało początkowo w środku Świątyni Słońca dla upamiętnienia faktu, że „bogowie” przybyli w pojeździe podobnym do jajka.

Opracował:  
B. KRAKOWIAN

ERICH von DÄNIKEN

# WYSPA WIELKANOCNA — NIEWYCZERPANY TEMAT



Reprod. zdj.: WŁODZIMIERZ PARYS

nie sposobu wyrabiania materiału na gigantyczne posągi ze skały wulkanicznej.

Jak dotąd, nikt nie był w stanie przedstawić choćby minimalnie prawdopodobnego powodu, dla którego kilkuset Polinezyjczyków mających dość kłopotów ze zdobyciem dla siebie skromnego pożywienia miałyby się tak przy-

jeśli oni byli rzeźbiarzami — nadali twarzom figur kształt i wyraz, dla których nie było wzorca na wyspie: długie proste nosy, usta o wąskich wargach, zapadnięte oczy i niskie czoła.

Nikt nie wie, kogo rzeźby mają wyobrażać. Nawet Thor Heyerdahl!

A oto moje wyjaśnienie, które jak zwykle, wydaje się być fantazją. Mała grupa nieznanymi istot inteli-

odnalezieni i uratowani przez swoich. Jednakże najbliższy ląd stały znajduje się w odległości 2500 mil.

Dni mijają w beczynności. Życie na malej wyspce stało się nudne i monotonne. Nieznani przybysze zaczęli uczyć krajowców mowy, opowiadali im o innych światach, gwiazdach i słońcach. Może, aby zostawić tubylcom trwałą pamiątkę swego pobytu, a może

## FILM

EWA NURCZYŃSKA

# ODKRYWANIE ŻYCIA

Praga pierwszego powojennego roku stanowiło to opowieści o miłości pary młodych bohaterów filmu „KOCHAN-KOWIE ROKU PIERWSZEGO” w reżyserii Jaroslava Balika. Ow rok, to czas, w którym wszystkich łączy tędną świadomość — poczucie wolności. Powrotowi normalnego życia towarzyszy szczególna intensywność przeżyć i działań, tak jak gdyby chciano nadrobić to, co lata okupacji i wojny zahamowały, zatrzymały w miejscu. Starsi reaktywują dorosłość czasu normalnego życia, młodzi doganiają swą młodość, której czas najpiękniejszy zabrała wojna. „Kochankowie roku pierwszego” to film o

radości i sile życia, które odradzając się, musi przyjąć wszystkie swe prawa, choć przeszłości z pamięci wymazać nie można.

Film „Kochankowie roku pierwszego” jest utworem bardzo kameralnym. W centrum uwagi jego autorów stoi para bohaterów, których doświadczenie życiowe jest bardzo różne. I właśnie ta biegunowość pozwala ową opowieść o sile życia uczynić prawdziwą w realiach społeczno-obyczajowych i niuansach psychologicznych. Życie mieszkańców Pragi owego roku pierwszego — dni politycznych i społecznych przemian i dyskusji, dni pracy i nauki czasu pokoju

— stanowi dyskretnie, lecz przekonująco tło tej kameralnej opowieści. Jej bohaterowie to Helena i Paweł. Paweł (Wiktor Preis) jest studentem Wydziału Prawa, dla niego wojna jest już czasem przeszłym. Wyszedł z niego już czasem przeszłym, Wyszedł z niego bez większych dramatycznych doświadczeń i zaborczością młodości. Jego niedojrzałość jest czymś zupełnie naturalnym, jego pasją i poszukiwaniem możliwości ich pełnej realizacji są prawem młodego człowieka. Paweł mógłby być bohaterem opowieści z lat siedemdziesiątych.

Jest jednak rok 1945, toteż pierwsza

wielka miłość Pawła mieć będzie swój inny wymiar, jej dramatyzm swe źródła mieć będzie w czasie, który bezpowrotnie, zdawało się, minął. Helenę (Marta Vanchurova) odnajduje Paweł przypadkiem, tak jak to w miłości bywa. Amator — filmowiec, bo właśnie film jest jego główną pasją, odkryje w obrazach swego filmiku dziewczynę, której tajemnicą będzie brak uśmiechu. Spotkanie Pawła z Heleną i owa analiza jej twarzy, dokonywana w trakcie wielokrotnego oglądu filmu, stanowi najpiękniejszą część tej miłosnej historii. Można by ją opowiedzieć wedle reguły — poznali się i pokochali, lecz to, co przekreśla tę możliwość powtarzalności miłosnych opowieści, zamknięte jest właśnie w tajemnicy smutnej twarzy Heleny. Rozszyfrowanie jej i próby przywołania uśmiechu wypełniają dzieje miłości Heleny i Pawła.

Choć film Jaroslava Balika ma swoje słabości, to co w nim oryginalne i piękne związane jest głównie z postacią Heleny i jej dramatyczną tajemnicą. Dziewczyna, która przeżyła obóz koncentracyjny, nie umie się śmiać. Zamknięta jeszcze stale w psychicznym świecie koszmaru, nie dostrzega urody świata i bóli się ludzi. Straszliwe młodzieńcze doświadczenia ukształtowało w niej lek przed mężczyznami, ból się więc także Pawła. Jej strach i izolacja wobec świata podtrzymywana jest przez dorosłą siostrę, która ukształtowana przez tragiczne doświadczenie wojny, patologicznie nieomal nieufność i lek, wpała również w Helenę.

W tym spotkaniu z kobietami, dla których pierwszy rok wolności nie jest wyzwoleniem, młodziutki Paweł do ofiarowania ma tylko swą miłość. Jest

ona symbolem życia i jego szansy. Miłość będzie jedyną bronią w walce o powrót Heleny do świata normalnego. Owo powolne odkrywanie przez Helenę urody życia, Jaroslav Balik, dzięki kreacji Marty Vanchurovej, uczynił największą wartością swego filmu. Pierwszy uśmiech Heleny, pierwsza reakcja na piękno kwiatów i drzew, pierwszy ciepły gest wobec Pawła stają się znakami zwycięstwa życia, do którego powrót będzie jednak długi i złożony.

Marta Vanchurova za rolę Heleny otrzymała nagrodę na festiwalu filmowym w Karlowych Warach — stworzyła kreację przejmującą w swej psychologicznej prawdzie. Proces przeobrażenia Heleny wyposażyła we wszystkie możliwe odcienie przemian oświeconych i fizycznych. Twarz Heleny z pierwszych kadrów filmu zrealizowanego przez Pawła, twarz Heleny z różnych okresów walki Pawła o odrodzenie i miłość dziewczyny, pozostaje długo w pamięci. I może niepotrzebnie się stało, że autorzy tego filmu chcieli obuj bohaterom poświęcić tyle samo uwagi. Paweł i jego młodzieńczy świat miał w tym filmie jedną rolę do spełnienia — i to się udało. Ze szkoda jednak dla stopnia dramatyczności samej opowieści o Helenie, na korzyść opowieści o miłości dwójki młodych ludzi, starano się również wiele uwagi poświęcić obrazowi osiągnięcia pełnej, mesialnej dojrzałości przez bohatera tej historii. Może to słuszne wobec życia samego, mniej jednak słuszne wobec samego artystycznego jego ukształtowania.

U PRZYJACIÓŁ

Nad Donem trwają obchody 70 rocznicy urodzin pisarza, który na kartach swych powieści wyraził umiłowanie tej ziemi i jej mieszkańców. Autorowi „Ciełego Donu” poświęcono festiwal artystyczny, spotkania literackie, sympozja naukowe i pokazy filmowe. Szczególną popularnością cieszył zorganizowany festiwal filmów nazwany: „Bohaterowie Szolochowa na ekranie”. Mieszkańcy stolicy Wieszenskaja gościł także ekipę filmowców — twórców i realizatorów opartego na powieści Michała Szolochowa filmu, reżyserii Sergiusza Bondarczuka „Oni walczyli za ojczyznę”. W czasie projekcji, przed oczyma zebranych przesunęły się kadry filmu, w którym wskrzeszono ich najbliższych.

Dzielo filmowców wysoko ocenili autor powieści, która posłużyła filmowcom za twórczo literackie. Szolochow powiedział: „Filmu oczekiwałem z niecierpliwością i nie zawiodłem się. Jego twórcy mają prawo do satysfakcji. Jest to przede wszystkim sukces reżysera i aktorów. Wydaje mi się jednak, że na tym nie można poprzestać; musi powstać dalszy ciąg filmu i to jak najprędzej, póki pamiętamy to, co wtedy przeżyliśmy. Nie unikajmy podejmowania tematów bolesnych, dotykających jeszcze nie zagojonych. Na kontynuację naszej wspólnej pracy czeka przede wszystkim nasza wspaniała młodzież”.

Zapytany o swe plany twórcze, Michał Szolochow powiedział: „Moim jedynym życiowym zamierzeniem jest pisanie dla naszego narodu wartościowych książek”.

Redakcja miesięcznika „Waprosy Literatury” przygotowuje się do wydania specjalnego numeru poświęconego literaturze polskiej.

Co roku wydawany jest specjalny numer czasopisma w całości poświęcony jednej z literatur krajów socjalistycznych. Ostatnio opublikowano numery poświęcone NRD, Bułgarii, Mongolii i Węgier. Obecnie zespół redakcyjny pracuje nad „numerem polskim”. W publikacjach tego typu prezentowana jest literatura danego kraju nie tylko czytelnikom radzieckim, ale i — poprzez zasieg języka rosyjskiego — czytelnikom z innych krajów świata.

„W polskim numerze” naszego pisma — mówi redaktor naczelny Witajli Ozierow — zaprezentujemy pisarzy oraz krytyków i uczonych obu naszych krajów. Jednym z najważniejszych będzie tu rozdział zatytułowany: „Przyjaźń narodów — przyjaźń literatur” zawierający wypowiedzi polskich pisarzy o Związku Radzieckim i radzieckich o Polsce, a poświęcony związkowi kulturalnym, literackim i ideowym łączącym nasze kraje i narody. Planujemy też artykuły poświęcone sytuacji polskiej literatury, prozy, dramaturgii i krytyki literackiej.

Mówi się ostatnio sporo o wzajemnych związkach między literaturą a teatrem, malarstwem, filmem i telewizją. Problem ten będzie przedmiotem wypowiedzi zaproszonych przez nas pisarzy polskich i radzieckich. Numer zamysłać będą liczne materiały kronikarskie i dokumentalne oraz wypowiedzi naczelnych redaktorów polskich czasopism społeczno-literackich oraz wydawców. Wypowiedzią się oni na temat swej pracy, zainteresowań i planów na przyszłość”.

Ujawniły się bardzo ważne, ogólne cechy socjalistycznej literatury, prawdziwości jej rozwoju, jedności twórczego wysiłku pisarzy w wydobyciu i poszukiwaniu nowych tematów i nowych środków wyrazu, w próbach stworzenia nowego typu bohatera. Te zagadnienia znajdują również wyraz w proponowanej wymianie doświadczeń.

Co pewien czas na łamach radzieckiej prasy literackiej i prawniczej porusza — bardzo żywo dyskutowana — problematyka współczesnej powieści kryminalnej. Radziecka powieść kryminalna nie ma jeszcze większej tradycji, ale w miarę powstawania coraz większej liczby utworów tego typu, gorszych i lepszych, jednakowo przez czytelników rozchwytywanych, wyłania się problem społecznej funkcji tego typu literatury.

Ostatnio na łamach miesięcznika „Sowieckaja Literatura” głos zabrał jeden z najpopularniejszych twórców powieści kryminalnej w Związku Radzieckim — Arkadij Adamow:

„Powieść kryminalna nie cieszy się dobrą opinią u niektórych literaturonaukowców, pedagogów i socjologów. Jaki ma sens — powiadają oni — powielanie historyjek o mordercach i bandytach? Zgadza się z nimi — nie ma sensu. Życie wciąż jeszcze niestety — dostarcza tych tematów również nam, autorom „kryminałów”, wszelkie fantazjowanie miało się z celem — także społecznym. Z drugiej jednak strony powieść kryminalna musi się rzadzić własnymi prawami, bez przepisywania akt sądowych. Podstawa powinna być wyłącznie konkretne, autentyczne wydarzenia, a co najważniejsze — typy i środowiska społeczne. Wówczas kryminał nadal może być literaturą „wagronową” tzn. w najwyższym stopniu masowa, ale czytelnicy zaspokajając wrodzoną im ciekawość, dowiedzą się jednocześnie, jak rodzi się przestępstwo, co powoduje wykołowanie się człowieka, który ma wszelkie dane, aby uczciwie żyć i pracować w społeczeństwie.

Społeczna anatomia przestępstwa — oto właściwy kierunek radzieckiej powieści kryminalnej. W tym właśnie upatruje wielką szansę tego gatunku literackiego, który jest wciąż niezbyt doceniany, za co zresztą winę ponoszą częstokroć sami autorzy.

30 kwietnia 1975 roku o godz. 13 reżim sajoński przestał istnieć. Skapitulował bez warunków przed Narodowowyzwoleńczymi Siłami Zbrojnymi Wietnamu Południowego.

1 maja całe terytorium Wietnamu Południowego przeszło pod kontrolę Tymczasowego Rewolucyjnego Rządu Republiki Wietnamu Południowego. Tego dnia ulicami największych miast — Sajgonu, Da Nang i Hue przeciągnęły niezliczone tłumy mieszkańców, gorąco manifestując pełne poparcie dla polityki rewolucyjnego rządu. Zwycięstwo Narodowego Frontu Wyzwolenia i wszystkich sił patriotycznych Wietnamu Południowego nad obcą agresją i marionetkowym reżimem sajońskim otworzyło przed narodem wietnamskim realne perspektywy budowy nowego, demokratycznego państwa.

Zamieszczamy dziś fragmenty chronologicznego zapisu dramatycznych wydarzeń z ostatnich chwil przed kapitulacją reżimu Thieu.

W nocy z 28 na 29 kwietnia wojskowi atakowali ambasadę amerykańską w Sajgonie, gen. Smith, zatelefonował w tym czasie do Honolulu, do głównodowodzącego floty wojennej USA na Oceanie Spokojnym. Zdenerwowany Smith powiadomił admirała, że samoloty transportowe „C-130” nie będą chyba mogły lądować na lotnisku Tanchoniat z powodu bezpośredniego zagrożenia przez oddziały „Vietcongu”. Wkrótce potem zapadła decyzja o ewakuacji personelu ambasady amerykańskiej w Sajgonie na śmigłowcach.

Armada składająca się z ponad 80 helikopterów wystartowała z lotniskowców amerykańskiej marynarki wojennej. Z dziesiątego piętra największego w mieście hotelu było doskonale widać, jak chmura śmigłowców wyroliła się nad miastem, a następnie zaczęła lądować na wyznaczonych miejscach. O godz. 7 rano wszystkie helikoptery wylądowały na obszarze ambasady amerykańskiej i w sąsiedztwie z nią dzielnic miasta.

Około godz. 8 rano Sajgon zalała fala bandytyzmu i grabieży. Rozpazani żołnierze wojsk reżimowych grabili sklepy, banki, budynki administracyjne. Amerykański magazyn wojskowy, położony niedaleko hotelu „Continental”, został błyskawicznie spustoszony przez maruderów z rotnej armii Thieu. Wielu z nich, gromiąc uciążliwym bronią, odbierało przechodniom motocykle i rowery, ładując na nie zagrabione rzeczy. Na jednej z ekskluzywnych ulic miasta byli agenci sajońskiej służby bezpieczeństwa wdzierali się do mieszkań „konfiskując” telewizory, aparaty fotograficzne, magnetofony. Terroryzowana ludność z niecierpliwością i nadzieją oczekiwała na wkroczenie oddziałów armii wyzwoleniejszej.

Noc z 29 na 30 kwietnia była brze-

mienna w dramatyczne napięcia. Wystrzałem w mieście towarzyszyła kanonada artyleryjska na peryferiach. Ludność, przerażona chaosem i rozwydrzeniem sajońskich żołnierzy, nie wychodziła z mieszkań. Na ulicach nie było żywej duszy i tylko strumienie deszczu zmywały z bruku propagandowe ulotki — ostatnie rekwizyty dogorywającego reżimu. Około godz. 10 rano, poprzedzony przez dwa jeepy z policją wojskową, przemknął ulicami w kierunku rezydencji prezydenckiej czarny „mercedes” gen. Duong Van Minha.

O godz. 10,15 gen. Minh złożył oświadczenie radiowe, w którym zgłosił gotowość przekazania władzy

wprowadzili ład i porządek w mieście. Szybko położono kres gwałtom i grabieżom.

Korespondenci zagraniczni, zaniepokojeni możliwością długotrwałego odcięcia od świata zewnętrznego, już wieczorem 30 kwietnia mogli przekazać pierwsze informacje do swoich dzienników. Przedstawiciele TRR RWP zagwarantowali dziennikarzom bezpieczeństwo i swobodę poruszania się.

Rano 1 maja TRR RWP wydał przez radio zarządzenie o niezwłocznym zamknięciu nocnych klubów, kabaretów ze striptisem i temu podobnych lokali rozrywkowych, następnie wezwał ludność do zachowa-

WIETNAM POŁUDNIOWY  
HISTORIA HEROICZNA  
WALKI O WOLNOŚĆ

Tymczasowemu Rządowi Rewolucyjnemu i poprosił o przerwanie ognia.

O godz. 12,35 siły Narodowowyzwoleńcze rozpoczęły planowe zajmowanie Sajgonu. O godz. 12,45 zajęły już centrum stolicy i zbliżyły się do pałacu prezydenckiego. Na wszystkich skrzyżowaniach ulic i w gmachach rządowych wystawiono posterunki wojskowe. W mieście panowała zupełna cisza, nie padł ani jeden wystrzał. O godz. 12,50 czerwono-niebieski sztandar ze złotą gwiazdą — godło Tymczasowego Rewolucyjnego Rządu Republiki Wietnamu Południowego — powiewał już nad budynkiem byłego ministra obrony.

O godz. 13, zgryzającą gęsiennicami, pojawił się przed prezydenckim pałacem ciężki czołg. Stanąwszy u żelaznych wrót pałacu, z wysoko uniesionej lufy działa wystrzelił w powietrze. Był to ostatni wystrzał tego dnia, głoszący zakończenie długiej wojny, która przyniosła wolność narodowi Wietnamu Południowego. Przerazony wartownik szybko otworzył wrota. W chwilę później z czołgu zeskoczył żołnierz, w rękach trzymał sztandar. Wszedł spokojnie do pałacu i umocował sztandar na balkonie pierwszego piętra. Ukazało się dalszych sześć czołgów. Garnizon wojsk reżimowych ochraniających pałac poddał się, nie stawiając oporu.

W opustoszałym pałacu prezydenckim gen. Minh nerwowo oczekiwał na zwycięzców, uśmiechem maskując niepokój. Równocześnie z oddziałami wojsk wyzwoleniejszych pojawiły się w mieście samochody, z których raz po raz nadawano przez megafon apel do mieszkańców miasta: „Wojska Frontu Wyzwolenia Narodowego całkowicie kontrolują Sajgon. Zachowajcie spokój i porządek. Przynośmy pokój”.

O godz. 16,30 przedstawiciel Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego wezwał wszystkich żołnierzy wojsk reżimowych do bezzwłocznego złożenia broni.

Do wieczora ulice Sajgonu zostały święte i niekorowane. Tłumy mieszkańców miasta z uniesieniem witaly żołnierzy sił patriotycznych. Wojska wyzwoleniejsze natychmiast

nia spokoju i porządku oraz niedawania posłuchu panikarskim plotkom. „Każdy obywatel — głosił komunikat radiowy — powinien stać na straży mienia państwowego, chronić dokumenty państwowe znajdujące się w byłych urzędach reżimowych. Życie powinno wejść w swe normalne koleiny w możliwie najkrótszym czasie. Każdy obywatel powinien się o to starać w miarę swych sił. Oficerom i żołnierzom byłej armii sajońskiej poleca się natychmiastowe zdanie broni i zgłoszenie się do rejestracji w wyznaczonych punktach. Jeśli chodzi o pracowników instytucji — wzywamy ich do powrotu na miejsca pracy i wykonywanie swoich obowiązków”.

Emigrantów wezwano do powrotu do kraju. Zagwarantowano im całkowitą netykalność. Nieco wcześniej rozpowszechniono w Sajgonie rozporządzenie Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego, w którym jednostkom sił patriotycznych polecono „zająć natychmiast wszystkie administracyjne i wojskowe urzędy, a także ośrodki masowego przekazu, łączności i transportu, rozwiązać wszystkie wojskowe i reakcyjne organizacje polityczne marionetkowej administracji Thieu. Ściśle przestrzegać kodeks moralny żołnierza Narodowego Frontu Wyzwolenia, chronić życie i mienie ludności, w tym także życie i mienie obywateli obcych”. Jednocześnie opublikowano program stabilizacji życia w kraju. Gwarantuje się w nim ludności Wietnamu Południowego wszystkie podstawowe prawa, a w tym prawo do pracy, wolność wyznania, równe prawa dla kobiet i mężczyzn itd.

Obudowa gospodarki narodowej zniszczonej przez wojnę jest jednym z podstawowych zadań TRR RWP. Większość fabryk i przedsiębiorstw, w których pojawił się nowy gospodarz — naród, rozpoczęła już produkcję. Klasa robotnicza, wszyscy ludzie pracy Wietnamu Południowego są zdecydowani walczyć z wszelkimi przejawami sabotażu, chronić swoje miejsca pracy przed dywersją. Po zajęciu Da Nang przystąpiono natychmiast do odbudowy portu, dzięki czemu już 1 maja stanął na redzie

pierwszy radziecki statek z ładunkiem przeszło 4 tysięcy ton ryżu, mąki i innych produktów żywnościowych dla ludności Wietnamu. Teżoż dnia zawinął do portu radziecki tankowiec z ładunkiem paliwa, niezbędnego do uruchomienia elektrowni w Da Nang.

W Hue — starożytnej stolicy cesarstwa — pracuje już stacja telewizyjna. Dzięki wysiłkom komitetów wojskowo-administracyjnych i robotników we wszystkich większych miastach działają elektrownie i wodociągi. W Sajgonie życie gospodarcze powróciło do normy. Porządku w mieście pilnują oddziały studentów — ochotników, stworzone nieomal nazajutrz po wyzwoleniu miasta. Przywrócono łączność telefoniczną i telegraficzną.

Obok ważnych problemów ekonomicznych przed rządem Wietnamu Południowego stoją obecnie złożone zadania w dziedzinie odbudowy narodowej jedności kraju. Jak oświadczył w jednym z wywiadów przedstawiciel TRR RWP, nowy rząd Wietnamu Południowego będzie realizować politykę zgody narodowej.

30 kwietnia, zaraz po kapitulacji reżimu sajońskiego, otwarły się ze zgrzytem żelazne drzwi, głosił w całym świecie, „tygrysich klatek”. Na wolność wyszli więźniowie polityczni, przez długie lata katowani w więziennych lochach. W styczniu tego roku w wężeniach reżimu sajońskiego znajdowało się ponad 200 tysięcy Wietnamczyków, więźniów często tylko na podstawie podejrzania o „sympatię dla komunistów”. Cieszący się najgorszą sławą obóz koncentracyjny na wyspie Konson został starty z powierzchni ziemi przez siły narodowowyzwoleńcze już 30 kwietnia. Ten sam los spotkał obóz koncentracyjny na innej wyspie.

Jednym z najważniejszych zadań, stojących obecnie przed TRR i miejscowymi organami władzy, jest rozwiązanie problemu uchodźców. Nastęrcza to wiele trudności. Wypędzeni ze swoich rodzinnych stron przez uciekające wojska sajońskie, uchodźcy zapelniają Sajgon i jego przedmieścia. Są to setki tysięcy ludzi nie mających ani dachu nad głową, ani pracy. Liczne organizacje ONZ zaofiarowały Tymczasowemu Rządowi Rewolucyjnemu RWP pomoc w rozwiązaniu tego trudnego zadania. Obecnie pracownicy ONZ wspólnie z przedstawicielami TRR RWP realizują pierwszą część programu pomocy uchodźcom: zaopatrzenie w lekarstwa i żywność. Drugi etap tego programu, rozpoczęty 5 maja, polega na stopniowym przesiedlaniu uchodźców do ich stron rodzinnych. Nowy rząd zaopatruje ich w niezbędne narzędzia rolnicze i nasiona. Tempo tej akcji rośnie i — jak sądzą władze — zostanie ona zakończona w lipcu br.

„My — powiedział przedstawiciel TRR RWP — nie zamierzamy stosować jakichkolwiek represji wobec Wietnamczyków, którzy zdali sobie sprawę ze swoich błędów. Taka polityka w pełni odpowiada naszemu Programowi 10 punktów, którą szybko wprowadzamy w życie na wyzwolonych terenach. Humanitarna polityka będzie sprzyjała osiągnięciu jedności narodowej. Dysponujemy dziś wszystkimi niezbędnymi środkami do zorganizowania normalnego życia w miastach i wsiach. Głównym zadaniem TRR RWP jest dziś odbudowa ekonomiki, zwiększenie produkcji przemysłowej i rolniej, ustabilizowanie życia ludności, pomoc uchodźcom i bezzwłoczne włączenie do aktywnego życia byłych więźniów politycznych przesiedlanych za czasów reżimu Thieu”.

Oprac. JERZY CZECH

- ◀ ROZMOWY W NRD
- ◀ WIZYTA PREZYDENTA AUSTRII
- ◀ PRZEDŁUŻENIE MANDATU SIŁ ONZ

W Warszawie odbyło się trzecie posiedzenie Rady Wojskowej Układu Warszawskiego. Z oficjalną wizytą w Polsce przebywał prezydent Austrii — Rudolf Kirchschlaeger. W Berlinie gościli na rozmowach Edward Gierek i Piotr Jaroszewicz wraz z towarzyszącymi osobami. W Wiedniu spotkali się A. Gromyko i H. Kissinger. W Genewie — w toku obrad konferencji w sprawie przegladu realizacji układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej delegat Polski podkreślił jego znaczenie i przypomniał te inicjatywy i propozycje krajów socjalistycznych, które czekają jeszcze na rozważenie i przyjęcie. Wydarzeniem tygodnia nad koordynacją narodowych planów gospodarczych i przygotowaniu nowej długoterminowej umowy handlowej — na lata 1976—80.

Obszerny komunikat o spotkaniu czołowych przedstawicieli PRL i NRD szczegółowo informuje o tematyce berlińskich rozmów. Zwrócić uwagę jednak na fakt, że w toku tej wizyty podpisany został protokół, zawierający podstawowe ustalenia w sprawie dalszego rozwoju współpracy ekonomicznej.

Wymiana towarowa między oboma krajami szybko wzrasta. Zadania, nakreślone w długoterminowej umowie na lata 1971—75, wykonane zostały w ciągu czterech lat, a realizacja dalszych pozwoli przekroczyć założenia tej umowy o ok. 37 proc. W czasie rozmów przyjęto ustalenia w sprawie zakończenia prac nad koordynacją narodowych planów gospodarczych i przygotowaniu nowej długoterminowej umowy handlowej — na lata 1976—80.

Rozwój handlu i współpracy ekonomicznej dominował również w warszawskich rozmowach polsko-austriackich. Czynnikami geograficznymi i politycznymi sprzyjają rozszerzaniu kontaktów między Polską i Austrią.

W ub. tygodniu w Wiedniu spotkali się Gromyko i Kissinger. O czym rozmawiali? Jak wiadomo — w wyniku wladystockich uzgodnień Związek Radziecki i Stany Zjednoczone mają zawrzeć rozszerzone porozumienie o ograniczeniu strategicznych zbrojeń ofensywnych na lat 10. Jesienią Leonid Breżniew odwiedzi Stany Zjednoczone i wtedy właśnie mogłoby nastąpić zawarcie tego porozumienia. Był to więc z pewnością temat nr 1 rozmów dwóch ministrów.

Od stanowiska obu mocarstw wiele też zależy w sprawie szybkiego przejścia od drugiej do trzeciej fazy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie oraz wznowienia prac genewskiej konferencji pokojowej na temat Bliskiego Wschodu.

Sygnalizowana powyżej zgoda Syrii i Izraela na przedłużenie mandatu sił ONZ o 6 miesięcy powinna być wykorzystana także w celu kontynuowania dyskusji w Genewie. (Przypomnijmy, że przedłużony już mandat sił ONZ na froncie egipskim wygasa 21 lipca). Niebezpieczeństwo wojny na Bliskim Wschodzie nie wygasło przecież i konieczne jest polityczne rozwiązanie konfliktu.

W. ŚLAWSKI

# ZDARZENIA I ZWIERZENIA

## TELIMENA, MRÓWKI I POMNIK MICKIEWICZA

Do redakcji przyszedł list od czytelnika z Kostrzyna, wnioskując ze stempla pocztowego, bowiem adresu zwrotnego nasz korespondent nie napisał. Otóż czytelnik prosi o rozstrzygnięcie zakładu, czy „prawdą jest jakoby „Odgłosy” drukowały kiedyś niecenzuralny fragment „Pana Tadeusza” o Telimene i mrówkach...”

Tak jest — choć niepełnie. W ubiegłym roku istotnie opublikowaliśmy z książką Romana Kalety „Sensacje z dawnych lat” tekst apokryficzny pt. „Spotkanie się pana Tadeusza z Telimena w świątyni dumania i zgoda ułatwiona za pośrednictwem mrówek”. W ślad za nami utwór ten przedrukowała następnie lubelska „Kamena”.

Tyle, że nie jest to fragment „Pana Tadeusza” w ogóle jego autorem nie jest Adam Mickiewicz. Roman Kaleta publikując po raz pierwszy od dziesięciu lat ów głosy — albo raczej ostawiony — tekst oparł się go wyczerpującym szkicem, z którego czerpie poniższe informacje.

Otóż istotnie ten frywolny wiersz napisany został, rze-

można, w mickiewiczowskiej manierze, bardzo zresztą udatnie podrobionej. Przez wiele lat dość powszechnie uważano, że Mickiewicz rzeczywiście opisał perypetie Tadeusza Soplicy z Telimena, ale uczynił to jedynie dobrym towarzyszem gwoli uciechy i wyłączył je z tekstu epepe, przeznaczony do druku.

Większość jednak skłaniała się ku przekonaniu, że autorem tego poetyckiego figla był Aleksander Fredro, znany zresztą jako autor „Sztuki obłapienia”, komedii „Piezomira” i innych utworów, których tytułów nawet w tym miejscu wymienić nie mogę, aby nie gorszyć młodzieży.

Nawiasem mówiąc, mam w swoich zbiorach ową „Sztukę obłapienia”, wydrukowaną nakładem Koła Bibliofilów jako rękopis w roku 1926 „w tłoczni w Suwałkach”. W istocie rzecz wydano we Lwowie i poprzedzono wcale interesującym studium „O Erosie w „poezji Fredry”. Rzecz ciekawa, że owa rozprawka (podobno autorstwa Stanisława Kossowskiego) przeznaczona została przez wszystkie kompendia bibliograficzne,

„Sztukę obłapienia” napisał istotnie Fredro, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Cytować, niestety, nie mogę, aby udowodnić fredrowską frazę i maestrię. Tekst jest — niestety — zbyt „gruby” na publiczną prezentację.

Co do słynnych „Mrówek” natomiast, rzecz wyglądała inaczej. Nie napisał ich Mickiewicz, nie powstały nawet w jego epoce. Pierwotny „Spotkanie się pana Tadeusza z Telimena w świątyni dumania” ukazał się bowiem w czasopiśmie „Mucha” w grudniu 1915 roku. Potem zresztą wydano broszurkę z tym tekstem, fałszując datę i miejsce wydania jako „Lipsk 1902”.

Wówczas wszyscy się na ów żart nabrali. Redaktorowi „Muchy”, Wacławowi Jeziorskiemu, wytoczono... proces za bezprawne przedrukowanie tekstu Mickiewicza. A naprawdę autorem wiersza był warszawski satyryk i poeta, Antoni Orłowski, piszący pod pseudonimem „Krogulec”. Spadły na niego gromy za szarganie pamięci wieszczki, który „nigdy nie zabawił się pornografią”. To zresztą też jest proble-

matyczne z dwu co najmniej powodów. Po pierwsze — tekst „Spotkania” naprawdę pornograficzny nie jest, prezentuje natomiast dużą kulturę literacką i granic obyczajności nie przekracza. Po drugie już w 1913 roku, po ogłoszeniu przez J. Czubka trzeciego tomu korespondencji filomatów, wiadomo było, że wieszak narodowy, owszem, „zabawił się” układaniem wierszy swawolnych. We wspomnianym tomie korespondencji Czubek przytacza autentyczny wierszyk Mickiewicza, który tak się kończy:

„By ta, co z wierzchu piękna nadstawuje buzię, Reszcie smaczniejszych wdzęków zamknęła w rajtuzie, Widząc taką potworę, któż z was nie zagwiżdża Kiedy u góry wazy, a u dołu pisieci, to jest ryba”.

I to już jest, proszę państwa, autentyczny Mickiewicz. Czy to wieszka pomniejsza, czy szarga jego pamięć i przekreśla dorobek? Mój Boże — nie przesadzajmy. Literaturę tworzą ludzie z krwi i kości; w brąz pomników zastępywać dopiero później. Jakże smutna, nudna i bez wyrazu byłaby literatura tworzona przez zimne pomniki!

Bohdan Arct — pochodzący ze słynnej rodziny księgarzy — wydawców — miał być malarzem i w tym celu ukończył Akademię Sztuk Pięknych, ale został pilotem i pisarzem. Napisał przeszło 40 książek, w tym większość poświęconą lotnictwu i pilotom. W 1972 roku otrzymał list od mgr. Jadwigi Radlińskiej, która w czasie wojny służyła w pomocniczej służbie kobiecej RAF, a po wojnie osiedliła się w Montrealu w Kanadzie. Janina Radlińska, używająca obecnie nazwiska Radlińska — opisała na trzech bitych, bez interlinii i marginesu, kartkach maszynopisu losy dwóch Polaków, pilotów, którzy trafili do 128 dywizjonu kanadyjskich sił powietrznych — Royal Canadian Air Force.

Bohdan Arct skorzystał z tego maszynopisu, choć nie udało mu się nigdzie sprawdzić jego prawdziwości. O losach dwóch Polaków pilotów, służących w lotnictwie kanadyjskim i walczących na Bliskim i Dalekim Wschodzie, milerzy archiwa, nie słyszał o nich Polacy szeroko przecież rozsiadani po świecie. Ale list Jadwigi Radlińskiej tchnie antentyzmem. Wiele szczegółów jest tu prawdziwych. I dlatego Bohdan Arct postanowił dokonać interesującego zabiegu. Cytując obszernie — jako motto — fragmenty autentycznego listu Jadwigi Radlińskiej, nadał im zbeletryzowaną formę, ubrał w powieściowe fakty i wydarzenia, zastrzegając się, że gdyby autentyczny bohaterowie powieści przypadkiem rozpoznali siebie, lub gdyby rozpoznali ich krewni, to aby nie brali dosłownie tego, co na ich temat wyobraził sobie autor, mając jako twórczo tylko trzy bite strony maszynopisu.

Tak powstała interesująca książka „Lot bez lądowania”, Bohdan Arct — „Lot bez lądowania”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa — 1975, str. 364, cena: zł 35,--.

### PO ŚLADACH REWOLUCJI

Wkrótce po zabójstwie Che Guevary argentyński malarz namalował obraz przedstawiający postać Chrystusa z karabinem na ramieniu. Obraz ten zdobył sławę i w tysiącach odbitek, na zasadzie plakatu pojawił się w różnych krajach Ameryki Łacińskiej. Policja zdejmowała te plakaty, policja aresztowała studentów i robotników wywieszających plakaty na murach domów, w salach uniwersytetów, na wsi.

Postać Chrystusa z karabinem na ramieniu stała się symbolem człowieka walczącego o swoją wolność. Ryszard Kapuściński, który od lat wędruje tropami rewolucji i walki o wolność ludów z różnych kontynentów i krajów, symbol ten wzięł jako tytuł tomiku swoich reportaży. Przedstawia w nich Arabów walczących z izraelskimi żołnierzami, czarnych partyzantów z afrykańskiego buszu, partyzantów z Ameryki Łacińskiej.

Ryszard Kapuściński uparcie wędruje śladami rewolucji i walki, starając się pokazać w swoich reportażach ludzi i procesy, które zmieniają świat. W reportażu „Chrystus z karabinem na ramieniu” prezentuje partyzantów Bolwii, ich dramatyczne losy i rozgrywy sił, do których należy jeszcze władza. Ta władza jest już świadoma swojej słabości, bezsilny i tylko terror może utrzymać się na powierzchni procesów, które zachodzą w Ameryce Południowej.

Ryszard Kapuściński — „Chrystus z karabinem na ramieniu”, Czytelnik, Warszawa — 1975, str. 182, cena: zł 15,--.

### KATARZYNA WIELKA

Była postacią kontrowersyjną. Jedną nazywają ją opiekunką filozofów i Seniramida Północy — inni (ale już po jej śmierci) wypominają jej że stosowała represje wobec tych, których inaczej myśleli niż ona, że na utrzymanie kokonachów, podnoszoną chorobliwą nienawidę do rewolucji francuskiej... I nikt nie stanął w jej obronie — faworyci odwołali się od wszystkiego, co miało z nią związek i woleli nie przypominać opinii publicznej, komu oraz czemu zawdzięczał swoje wysokie stanowiska i pozycje. Ale tak bywało zawsze i bywa wciąż.

Dla Polaków była Katarzyna II sprawozdania upadku państwowości i nie ma na pewno powodów, aby ją wielbić. Ale kim była naprawdę urodzona w Szczecinie Zofia Anhalt-Zerbst, z woli Józefa Katarzyna II, Imperatorowa Wschodu?

O Katarzynie napisano całą bibliotekę książek, nakreślono wiele filmów, napisano wiele dramatów, aby ją wielbić. Ostatnio ukazał się prac polskiego historyka, Władysława A. Serczyka „Katarzyna II, cesarowa Rosji”, który — jak twierdzi — ma własną wizję prawdy o imperatorowej. Trudno ocenić lalkowi, o ile jest to odkrywcza i nowatorska wersja, faktem jest jednak, że książkę Serczyka czyta się, jak wspaniałą powieść. Dlatego można ją polecić miłośnikom historycznych „story”.

Władysław A. Serczyk „Katarzyna II, cesarowa Rosji”, Wyd. Ossolineum, cena 55 zł.

### PIEŚŃ O ZABIUCIU

Wojna wciąż jeszcze obecna jest w pamięci ludzi. Ludzkie losy kształtowane przez koleje wojny, „jeszcze slychac śpiew i rżenie koni...”. Ciągłe slychac strzały... Kielecki dziennikarz, Zbigniew Nosal, nie musiał szukać daleko, aby raz jeszcze wrócić do wojennego tematu. Przeciwnie, Kieleccyżna była terenem szerokiego ożywienia działalności oddziałów partyzanckich — „dolinami i wzgórzami” Kieleccyżna szczeplinie glosno i dobitnie „niosła sie bojowa pieśń”.

„Pieśń o zabiciu” jest eposem o wale i uporze. Pobrznięta w tej książce patos, ale są w niej także nuty tragiczne. Może nawet więcej w „Pieśni o zabiciu” jest tragizmu niż patosu. Ale mimo wszystko jest to pieśń o bohaterstwie i o życiu właśnie. O tym życiu piekniejszym, nowym — o którym poeta pisał, że dla niego umrzeć warto. Dziesiątki autentycznych bohaterów tej książki swola walka, śmierć i dokumentowała, ów poetycki postulat. „Pieśń o zabiciu” jest holdem tym wszystkim ludziom, którzy w okupacyjnej noc nie złożyli broni.

Zbigniew Nosal „Pieśń o zabiciu”, Wyd. Łódzkie, cena 12 zł.

### NOWA DZIEDZINA

Na naszych oczach powstaje nowa dziedzina wiedzy: politologia. Zajmuje się ona badaniem stosunków międzynarodowych na świecie. Jak w każdej młodej dziedzinie wiedzy, tak i w politologii, pierwszy etap sprawozdania się do opisywania zjawisk, które są przedmiotem jej zainteresowania. Dopiero w następnym okresie zacznie się wysiłek nad formułowanie teoretycznych uogólnień. Najpierw trzeba mieć co uogólniać, aby móc w ogóle uogólnić.

Mają mamy jeszcze prac teoretycznych i metodologicznych z politologii. Longin Pastusiak w książce „Komputery a polityka”, prezentuje zbiór szkiców na temat teoretycznych i metodologicznych problemów stosunków międzynarodowych.

Poza obszernym studium zawierającym uwagi o orzędniectwie, teorii i metodologii badania stosunków międzynarodowych, Longin Pastusiak prezentuje jeszcze szkielet poświęcony możliwościom stosowania komputerów w kształtowaniu stosunków międzynarodowych, a także szkielet poświęcony metodom symulacyjnym i badaniom nad zachodzącymi w wielkich organizacjach międzynarodowych procesami decyzyjnymi.

Longin Pastusiak — „Komputery a polityka”, Wiedza Powszechna, Warszawa — 1975, str. 247, cena: zł 32.

MARCIN RODAK

# LEWYM OKIEM

## SIÓDME NIEBO

W wielu punktach naszego miasta wyburza się stare domki — zawalidrog, rozluźnia się skrzyżowania ulic, zasiewa na przystankach trawę i sadi drzewka. W nowo wznoszonych dzielnicach zieleni stanowi istotną część projektu urbanistycznego, przestrzeń pomiędzy blokami jest nią planowo i starannie wypełniona.

Stara Łódź miała kilka dużych, zwartych terenów zielonych i statystyczna ilość metrów kwadratowych zieleni na mieszkańca nie była najgorsza, ale były też duże połacie miasta, gdzie tylko w głębszych zapleczkach domów trafiało się jakieś mizerne drzewko czy krzaczek. Każdy nowy skwer, trawnik, zakątek z lawką dla rencistów liczą się wręcz na wagę złota.

Niestety, tego nikt sobie jakoś uprzytomnić nie potrafił. Serce się kraje na widok tego, co zostaje z trawnika w parę tygodni po jego urządzeniu. Nie pomagają tabliczki „zieleni zdobi daję zdrowie, szanuj ją”. Nie ma środków zaradczych innych, niż wyrobienie drogi zmuszonych, systematycznych zabiegów wychowawczych odrodzu warunkowego,

uczulenia, uwrażliwienia na zieleni. Kiedy byłem dzieckiem, wpadnięcie piłki lub kółka na trawnik w parku stawało się trudnym problemem. Bez milicyjanta, bez tabliczek ostrzegawczych stawały dzieci na skraju trawnika jak nad brzegiem głębokiej wody: postąpienie krok dalej, bez specjalnego zezwolenia takiej czy innej starszyny, było wręcz trudne do pomyślenia. Nie umiem powiedzieć, w jaki sposób nas tego nauczono, ale to zostało do dziś.

Dziś nikt nie ma czasu na liczenie się z czymkolwiek i z kimkolwiek. Trawnik nie parzy w stopy, nie kluje, nie przemocyńóg — nie jest więc przeszkodą. Dla skrócenia drogi o krok, a czasem wręcz dla złudnego skrócenia drogi — wali się przez trawę i kwiaty na ukos, na wprost, jak podłeci. Tłumy ludzi biegna w poprzek przez rabaty placu Wolności. Naroznie skwery mimo przeciwności skosnej alejki, ścinającej róg, podeplane są tuzinem ścieżek jeszcze bardziej

skośnych, mniej skośnych, skośnych pod innym kątem — bo tak komuś akurat wydało się jeszcze wygodniej. Jeśli dodamy do tego manię przenoszenia lawek raz pod drzewo, raz w krzak, a potem ścieżki do tych lawek i śmietnik w miejscu każdego ich chwilowego postoju, — nie dziwne, że nie zostaje ze skweru nie poza twardo ubitą ziemią i bezlistnym widmem krzaka. Miejsca, które miały być i mogły być radością dla oczu, ozdoba miast, stają się jego szpetotą i świadectwem szpetnego wnętrza jego mieszkańców. Są smutne, brzydkie i przynębiające.

Mamy już salony meblowe, obuwicze i pralnie, „Salon” — to sklep po remoncie, albo sklep w nowych pawilonach. Innych wyróżników nie zauważyłem. Czytam też, że mają wkrótce powstać Salony Chleba (a może to będzie „Dom Chleba”) — „utrzymujące bogaty asortyment”. Najbogatszy asortyment pieczywa za mojej pamięci utrzymywany był w sklepiu o powierzchni 12 m. kw., przy ulicy Solec w Warszawie, gdzie pracowała wdowa z synem. Nie był to ani „Dom”, ani „Salon”, tylko „Filia z pieczywem”. Niedaleko tej filii na

małym trawniku rosy słoneczniki i wyobraźcie sobie: kwitły najnormalniej w świecie, nikt ich nie łamał i nie zrywał. To była dzielnica Warszawy wcale nie najbardziej nobliwa, wręcz przeciwnie.

No dobrze, miech sobie będą Salony, chociaż po jakie słowo sięgnęmy, gdy to nam się lada dzień zdewałuje? Po „Palace”? „Palac chleba”? „Palac białymy męskiem”? „Siódme Niebo Krawców”?

Jeżeli jednak cała ta bardzo śmieszna grandilowencja ma jakieś — przynajmniej w założeniu, przynajmniej w intencjach ich twórców — praktyczne znaczenie, jeżeli wpływa choćby minimalnie na samopoczucie użytkowników owych instytucji, jeżeli onieśmiela ich i koryguje niezbyt elementarne odruchy, — to proponuję nasze tereny zielone ochrzcić również imponująco: „Salon Relaksowy”, „Delikatesy Przechadzalcze”, „Centrum Usług Respiracyjnych”. A tuż ktoś zaważa się przed podeptaniem „Salonu”?

CWIEK

# PROPOZYCJE

## 12 MINUT PO...

Wszystkich miłośników kolarstwa zafascynowało oczywiście zwycięstwo Stanisława Szosty na kolejnym etapie 28 Wycisgu Pokoju. Stanisław Szosta zwyciężył w Zielonej Górze, w Kaliszu był trzeci, a jakie miejsce zaimał w Łodzi i Warszawie tego jeszcze nie wiam, gdyż piszę ten felieton bezpośrednio po zakończeniu telewizyjnego sprawozdania z etapu w Kaliszu. Ta pozornie warsztatowa informacja ma jednak istotne znaczenie.

Tylko niektórzy zwrócili uwagę, że w Zielonej Górze w 12 minut po zakończeniu kolejnego etapu 28 Wycisgu Pokoju ukazał się specjalny dodatek „Gazety Zielonogórskiej”. W pracy dziennikarzy i drukarzy jest to wydarzenie wielkiej miary. Podejrzewam, że wielu kolegów zredagowało dziennikarstwo z Zielonej Góry, że nie tylko mogli wpasować na taki pomysł, ale również go zrealizować. Podejrzewam też, że w Łodzi — chociaż mamy podobno najnowocześniejszą drukarnię — taki wyczyn byłby niemożliwy. Najlepszym dowodem mój felieton, który ukazał się w druku dopiero w 10 dni po zakończeniu etapu zielonogórskiego, w 8 dni — po zakończeniu etapu w Łodzi i w tydzień po zakończeniu całego 28 Wycisgu Pokoju.

Był kiedyś czas, że dodatki nadzwyczajne ukazywały się niczym grzyby po deszczu, ale czas ten przeminął. I wcale nie dlatego, że obecnie nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Przeciwnie, dzieje się wiele, ale popularne dawniej do-

datki nadzwyczajne zastępuje z miernym powodzeniem telewizja. Z miernym powodzeniem, że telewizja też nie zawsze nadaje za wydarzeniami i czasem prezentuje telewidzom aktualności z myszkią.

Poza tym — co nie jest bez znaczenia — żyjemy teraz w epoce kryzysów. Mamy więc kryzys energetyczny, mamy też kryzys papierowy. I choć ten drugi brzmi trochę podejrzanie, gdyż były już „tygrysy papierowe”, „papierowe postacie”, „papierowi bohaterzy”, to jest on wcale poważny i nie mniej skomplikowany w skutkach od kryzysu energetycznego. Tak więc kryzys papierowy powoduje, że nie możemy pozwolić sobie na luksus nadzwyczajnych dodatków, choć pozwalamy sobie na luksus marnowania papieru, wydając różne mało komu potrzebne formularze i tasiekomu rachunki.

W dziennikarstwie najważniejszą sprawą jest szybkość. Nie chodzi tu oczywiście o różne akcje typu „dzis telefon juco odpowiad”, ale o szybkość informacja, która powinna dotrzeć do odbiorcy, aby mógł się on właściwie orientować w tym, co się dzieje we współczesnym świecie. Jest to zupełnie różna zasada od tej, która kierują się naukowcy. W nauce szybkość się nie liczy. Tu można spokojnie czekać aż się sprawa ułoży, materiały naukowe nabiorą mocy. Tak się przynajmniej niektórym wydaje.

Dotarła właśnie do mnie publikacja kilku patronów: Społeczno-Komitetu Obchodów 400-lecia

śmierci Andrzeja Frycza Modrzewskiego w Wolborzu, Rady Naukowej przy Województwie Łódzkim i Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego. Tytuł publikacji to: 400-LECIE ŚMIERCI ANDRZEJA FRYCZA MODRZEWSKIEGO — 700-LECIE NADANIA PRAW MIEJSKICH WOLBORZOWI — Materiały sesji popularyzatorskiej z 24 IX 1972 r. Na tytułowej karcie widnieje data: Łódź 1973.

Publikację tę otrzymał Listą Społeczny Komitetu Obchodów 400-lecia śmierci Andrzeja Frycza Modrzewskiego w Wolborzu. Przewodniczącym tego komitetu był Kazimierz Kowalski — przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej w Wolborzu. Realizujemy właśnie trzeci etap reformy systemu zarządzania państwem i już nie tylko nie ma w kraju gromadzkiej rad narodowych, ale również przestało istnieć województwo łódzkie. Zycie potoczyło się znacznie szybciej niż cykl wydawniczy i niewątpliwie potrzebna publikacja o Andrzeju Fryczu Modrzewskim okazała się dokumentem nie tylko o poprzednich epokach, ale też dokumentem z poprzedniej epoki. Nie sądzę, aby było potrzeba aż 17 z e h lat, żeby ta publikacja mogła ujrzeć światło dzienne.

Technika poligraficzna poszła choćby tylko w ostatnim trzydziestoleciu znacznie naprzód, a cykle wydawnicze znacznie wstęczy. Bardzo dawno temu Tadeusz Boy Zeleni publikował swoje recenzje teatralne następnego dnia po premierze, dziś recenzje ukazują się w kilka dni lub tygodni, ale też na opinie Boya czekano z niecierpliwością, a dziś byłoby lepiej, aby niektóre recenzje w ogóle się nie ukazały. Nie wierzę, że dziś nie

# MAGAZYN

ODCŁOSY



w spadku po matce pieniędzy, które umożliwiły mu założenie wspólnego z Bejariami Teatru Znakomitego (Illustre Theatre).

Od tego czasu Jean Poquelin pod przybranym nazwiskiem Mollera przez prawie 13 lat objeżdżał z trupą aktorską okolice miasta prowincjonalne. Przedstawienia, jakie organizował, nie przynosiły jednak spodziewanych dochodów. Wynajmowane sale świeciły najężej pustkami. Dla utrzymania teatru zaciągnął pożyczki, których nie mógł spłacać. Dłużnicy spowodowali jego uwięzienie. Uratowała go z tej opresji rodzina, spłacając dłużników.

Molier postanowił opuścić niewdzięczną stolicę i wraz z żoną Magdaleną Bejarą udać się do Francji południowej. Rozpoczął pracę pełną troski i wyrzeczeń w mieście Poquelin. Teatr był jego duszą, a on sam — dyrektorem, reżyserem, głównym aktorem, a równocześnie autorem wystawianych sztuk.

Po wielu latach wędrówki, przędzony rozgłosem i wzięcia,

wk XIV. Udzilił zezwolenia na odbywanie przedstawień w Palais Royal. Na jednym z takich spektakli Moller został przedstawiony parze królewskiej. Ludwik XIV wyraził uznanie autorowi graney wózewas sztuki „Pocieszny wykwintnie” i pochwalił cały zespół za doskonałą grę. Od tego czasu monarcha obdarzył sympatią Mollera i przychylił mu z pomocą materialną. Gdy rozpoczęła się burza z powodu wystawienia „Świętoszka”, zważszy ze strony duchowieństwa, początkowo król kazał usunąć sztukę ze sceny, ale później zgodził się na dalsze jej przedstawienie. Dowodem szczególnego wyróżnienia pisarza przez monarchę było przyznanie mu dożywotnio corocznej pensji w wysokości 1000 livrów.

Teatr Mollera stał się odąd teatrem reprezentacyjnym, usuwającym w cień dwa inne teatry paryskie. Jego kierownik, dzięki poparciu królewskiemu, wypowiadał się teraz w swoich sztukach zupełnie swobodnie. Nie licząc się z opinią i protestami kół uprzywilejowanych, chwalał przesyłki wieki i wady społeczne.

„Po każdym nowym triumfie Mollera — piszą autorzy „Historii literatury francuskiej” G. Lanson i P. Tuffrau — rosła liczba jego wrogów; należało do nich wykwintnie, którzy tragicznie, markiz, zadróżnił pisarza, których krytykami i odpowiedziami na krytyki, nawiądy najbardziej oszczerczy i obojętni, gardzi; bigoci prawdziwi i fałszywi, któ-

przejazdną Boiteau i La Fontaine'a, Molier dzielnie stawia czoło wrogom”.

Pisarz jest u szczytu sławy. Ale w życiu osobistym przeżywa tragedię. Oto o kilka lat starsza od niego Magdalena Bejara, znana aktorka, interesowała się głównie teatrem, a męża traktowała jako współkierownika i aktora zespołu. Nie odwracała mu się uczuciami, traktowała go chłodno i obojętnie. Toteż po powrocie do Paryża, Molier zrezygnował z dalszego pożycia z żoną i poślubił — zresztą za zgodą Magdaleny, młodszą jej siostrę (niektórzy twierdzą córkę) Armandę Bejari. Była młodszą od pisarza przeszło 20 lat. Nie traktowała małżeństwa poważnie. Widziała w Mollerze raczej opiekuna niż męża. Widząc to wrogowie autora „Świętoszka” zaczęli rozszerzać wieści uwielbujące o Armandzie, przypisując zdradzonemu Mollerowi rolę. Pisarz z natury gwałtowny, urządził żonie sceny zadróżel. Polegowało się w nim uczucie samotności i opuszczenia. Do tego dołączyła się choroba płuc.

Mimo cierpienia, pisarz nie zrezygnował ze swoich występów. Znakomity krytyk i komediopisarz francuski Jan Anouilh w zmyślnym pamiętniku nieznanego aktora z trupy mollerowskiej, tak opisuje ostatnie chwile autora „Skapka”:

„W ostatnim balacie zauważyliśmy, że pan Molier słabnie w sposób niepokojący... Patrzyliśmy tylko na jego biedną twarz, która skłóca się z bólem... Pod sam koniec w chwili, kiedy wygłasza owe „luro”, które ma z niego zrobić doktora, pozwolił, aby sam siebie leczył i w ten sposób na zawsze zabezpieczył się przed śmiercią — o ironio tej sceny ostatniej — dostał ataku konwulsji. Publiczność musiała się sposzrec. Było poruszenie na sali. Zrozumieliśmy, że to odczuł. Dokonał strasznego wysiłku, wybuchnął wymuszonym śmiechem i ukrył śmierć, która kładła już pazur swój na jego twarz, pod tak półowym i tak zabawnym grymasem, że cała sala, nagle uspokojona, zaczęła się pokładać ze śmiechu.

„Zaniesiono go w pośpiechu na ulicę Richelieu w lektycje Barona. Kiedy przechodził obok loży pani Mollerowej, dobiegły stamtąd głośne wybuchy śmiechu. Nie chcąc bardziej od niego samego obwiniać tę młodą niewiastę, odniósł wielki sukces w sztuce, mali markizowie rzucali się, aby jej ucałować ręce i obśypać pochlebstwami... Pozwoliła, aby pan Molier — smutny, zrozpaczony cień podtrzymywany przez nas najzupełniej jak można, przeszedł przed jej zamkniętymi drzwiami, ślad fałsetem dobiegający głośno admirańców jej kruchych wdzięków. Nie pomyślała nawet, żeby go odprawić. Już nie miała go zobaczyć żywego. Kiedy Baron w godzinę później pobiegł ją poszukiwać i przyprowadził, ten, który ją tak kochał (i z tak małą spółką się wzajemnością) umarł już bez niej”.

Duchowieństwo odmówiło pogrzebu i miejsca na cmentarzu katolickim. Nie mogło wybaczyć pisarzowi „Świętoszka”. Dopiero za wystawieniem wdowy u samego króla, arcybiskup Paryża zgodził się na złożenie zwłok na miejscu poświęconym, ale bez żadnego uroczystego ceremoniału, o porze nocnej.

Jean Baptiste Poquelin — Molier zmarł 17 lutego 1673 r., w wieku 51 lat.

Oprac. F. LEWANDOWSKI

# SPACERKIEM PO JUVENALIACH

— I po co to taki robi z siebie blazna? — starszy jegomość rozkłada bezradnie ręce nie mogąc znaleźć odpowiedzi na rzucione półgłosem w tłum pytanie. Zatrzymuje się na środku chodnika odwracając głowę za grupką przebranych z fantazją młodych ludzi. Jeden z nich usiłuje grać na gitarze, drugi uderza rytmicznie w tambury, a pozostali podśpiewują wesoło: Juvenalia, juvenalia, hej, hej, juvenalia! Na twarzy starszego jegomości pojawia się ledwo zauważalny ironiczny uśmiešek.

Rozpoczęcie przewidziane było na godzinę 16 i jadąc tramwajem do stacji Śmiecia miałem poważne wątpliwości, czy zdążyć na inaugurację Juvenalia uroczystości przekazania studentom symbolicznych kluczy od bram miasta. Mimowolnie snulem wizję długiego, poprzedzonego jadącymi konno heroldami orszaku, na czele którego marszujący dostojnym krokiem niosą w tór profesorowie. Dalej zaś różnokolorowa cizba rozwieszonych żaków, a po obu stronach ulicy nieprzebrane tłumy lodzian. Tymczasem wchodząc w Piotrkowską nie zauważyłem niczego szczególnego — normalne plątkowe popołudnie ludzi wracających z pracy z torbami pełnymi zakupów, przepelnione sklepy i autobusy. Jeszcze kilka kroków i nagłe z pozostawionych po pierwszomajowych uroczystościach głośniejszy rolęga się donoszą „Gaudemus”. Cała ulica jakby zastygła na moment w bezruchu, ale krótka chwila niczym wywołanie migawki w aparacie fotograficznym, po czym znów wszystko wraca do swego normalnego rytmu.

Tak właśnie zaczęło się Akademickie Święto Juvenalia 73, a ja zrozumieliem, że jednocześnie zaczęła się trzydniowa, cicha rywalizacja między codziennością a Juvenaliowym świętem. Po kilku minutach przed budynkiem Zarządu Łódzkiego SZSP rusza studencka orszak podążając w kierunku Urzędu Miasta. Nie było co prawda heroldów, ale była za to na pięknym koniu jeszcze piękniejsza amazonka. Nie było też nieprzebranych tłumów, tylko grupki przypadkowych gapiów. Na dziedzińcu przed Urzędem Miasta tymbur, a na niej Prezydent M. Łódzi, Lorenz i szacowne władze naszych uczelni. Fanfary. Przed trybuną zbliżają się przedstawiciele łódzkich żaków, krótkie mowy, brawa, wiwaty. Przewodniczący ZL SZSP A. Mikolajczyk otrzymuje klucze (nieestetycznie jeden, choć zwykło się o nim mówić w liczbie mnogiej) i duża drwalna suwniarki „aby studenci swe sily na zamłary mierzyć mogli”. W rewanżu Prezydent przyjmuje od studentów każdą pełną drożdży. „Niech nam miasto i środowisko akademickie rodzic jak na drożdżach”. Jest godzina 17. Przenosimy się na plac Dąbrowskiego. Na służbę na estradzie ciężarówce gra prawie zupełnie nieznany zespół jazzu tradycyjnego „Basin Street Band”. Okazywa się przy tym że w liczbie trójki muzyka lat dwudziestych cieszy się nadal nie słabnącym powodzeniem. Wokół ciężarówki studencka brać zaczyna tańczyć ku jeszcze większej ucieście emerytów, którzy obsiedli wszystkie ławki w pobliżu. To właśnie oni stanowią najliczniejszą grupę słuchaczy. Obserwując harce młodego pokolenia uśmiechają się do siebie nawzajem, a może także i do wspomnień swojej młodości. Jakże inne musiały być ich zabawy, gdy mieli po dwadzieścia lat.

Na prawo od estrady usytuował się zwoim stoiskiem Wydz. Ekonomiczno-Socjologiczny UL. Można tu kupić stary moździerz, odpustowego kota, jakis znoszony ciuch i wiele innych temu podobnych atrakcji. Dla godzinny przygotowano chleb z smalcem. W tej scenerii na pewno będzie smakował.

Nie opodał odbywa się konkurs w rzucie jajkiem do kapelusza na odległość. Oczywiście jajka są prawdziwe i każda nieudana pró-

ba pozostawia na chodnikowych płytach ślad, co wzbudza lawinę śmiechu. Przechodnie zatrzymują się, by zgiebie listę studenckich harców. Są ciekawi, choć nie kwapią się raczej do wspólnej zabawy mimo zachęty ze strony żaków.

Szkoda, że łódzkie Juvenalia są dla wielu ciągle jeszcze tylko bezmyślnym blazowaniem. Ale przecież do wszystkiego można się przyzwyczaić, polubić to, czego się do tej pory nie znało, więc może za kilka lat...

Wczorajem wybrałem się do klubu UL „Na płocie”. Gwarowo tu było i wesoło. Młody łódzki poeta, student UL, Z. Jaskula przygotował znakomity program, który można by określić jako skrzyżowanie kabaretu i wieczoru autorskiego. Zaś co do wręczanych przez Jaskulę nagród za osiągnięcia na polu literatury — Złoty Głaz, to mam nadzieję, że pasują do nich wszystkie rodzaje wtyczek, jako że były to gładziska elektryczne. Rangę wieczoru podniosła obecność prof. W. Śmiecha, który osobliwie pomagał w odspuntowaniu beczki piwa, co wzbudziło głośny aplauz wśród zgromadzonych. Radowało się studentenie serce widząc rektora UL w takiej komitywie ze swoimi studentami, a jakis wewnętrzny głos podszeptywał przekornie: o, gdyby taka atmosfera mogła panować i w czasie sesji egzaminacyjnej...

Najgorętszym dniem Juvenaliowym okazała się sobota. Już od samego rana w pasażu ZMP rozłożył swe płótna i akwarie plastyczny z PWSSP. Wybor był duży, a i nabyciwo nie brakowało, no bo kto wie, czy wśród tych stojących pod murem studentów nie ma przyszłych wielkich mistrzów pedzacji? Cena rzyżka zróżnicowana od 2 do 1000 zł.

Nie ryzykował natomiast niczym ci, którzy wybrali się na Rynek Staromiejski, by posłuchać jak grają nasi ciemnoskorzy koleczy: Afrykańscy i Latynosi. Niestety zespół „Afropol” zdążył zagrać tylko dwa utwory, gdy spadły pierwsze krople deszczu. „Czyby z woli niebosca cała impreza miała się na tym skończyć?” — pytali uciekający przed deszczem miłośnicy południowych rytmów. Ale od czego jest studencka pomysłowość — po zabezpieczeniu sprzętu — muzyce przeniesi się byskawicznie w podcienie, gdzie kontynuowali swój występ używając do tego całej gamy egzotycznych instrumentów perkusyjnych. Szczegółem padało tylko kilkanaście minut i już niebawem na deskach estrady pojawiła się grupa „Polacis” dająca prawdziwy szaw latynoskich rytmów.

Tymczasem Plac Wolności wlezi w swe posiadanie studenci Akademickiego Święta, kto zniw się cierpiącym mógł tu sobie znieżyć temperaturę lub ciśnienie, ale wyniki tych badań nie odgrzywały żadnej roli w sposobie leczenia, bo młodzi medycy uznali, że i tak najlepszym środkiem na wszystkie schorzenia jest muzyka. Aplikowano więc na miejscu sporą dawkę deetylbi z magnetofonu i zachęcano do wspólnej zabawy, co zapewne uśmierzyło na jakiś czas ból codzienności.

W niedziele zaś, już na zakończenie Akademickiego Święta Wiosny odbyła się zakimada. Studencki pochód przemarszerował ulicami miasta wzbudzając tym razem o wiele większe zainteresowanie niż przed dwoma dniami i wydało mi się, że wśród ciszących się przy krawężniku gapiów widzę znajomą mi postać starszego jegomości, na którego twarzy polyskiwał uśmiech już nie ironiczny ale serdeczny i przyjazny.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

## NA MAŁYM EKRANIE NOWY SERIAL: TAPICER JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI — JEAN BAPTISTE POQUELIN — MOLIER

wystawianych sztuk. Illustre Theatre powrócił do Paryża, by tu osiągnąć na stałe i stworzyć nową scenę, najlepszą w stolicy. Osobliwym aktorem — pisarzem w jednej osobie, a jeszcze więcej jego eksperymentalnym teatrem, zainteresował się sam król Lud-

rych oburza „Świętoszek” i gorąco „Don Juan”, budzący jednocześnie niechęć libertynów, parweniuzie wywodzący się z mieszczaństwa, złoła młodzież, szarlantani parający się medycyną. Sam przeciw wszystkim, ale śladomy życzliwości króla i wspierany

## WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

# POLICJA JEZYKOWA

Czas już chyba najwyższy, aby powołać do życia w naszym kraju nową służbę, sprawną i dobrze wyposażoną w rozmaite środki. Chodzi mi o rodzaj policji jezykowej, potrzebnej ze względu na rozwijającą się żywiołowo przestępczość, skierowaną wyraźnie przeciw polskiej mowie, bezkarna — jak dotąd — i ogarniająca coraz szersze kręgi społeczne, a nie tylko sprawozdawców sportowych, jak zwykło się sądzić.

O konieczności powstania wysoce wyspecjalizowanej policji jezykowej mówiono — nie pierwszy raz i nie ostatni — podczas Literatów Walego Zjazdu Związku Literatów Polskich w Poznaniu. Na konkretny uchwały w tej sprawie jednak nie doszło, zapisały się nie zawsze wiadomo, który z nich mógłby pełnić funkcję policjanta, który zaś poszukiwanego, jakalecienie języka. Nie ulega wątpliwości, że straszliwy żargon, dzwiczka jezykowa, nonsensy, składni, zainfekowały już po części również i literaturę, po uprzednim opanowaniu języka wielu urz-

dów, gazet, i co najgorsze — naszej mowy potocznej.

Pewien wybitny, nie żyjący już językoznawca, którego wszakże jak sądzę — pamiętamy, stwierdził nie bez racji, że język to kategoria rozwojowa, zmienia się, doskonali i wzbogaca chociażby wskutek szybkiego rozwoju techniki, ale podstawowy zasób słów, baza jezykowa, pozostaje ta sama. Mielibyśmy chyba nie mało kłopoty, gdybyśmy tak wybitnemu budowniczemu jak Kazimierz Wielki chcieli wytułmaczyć proces komputeryzacji z sterowaniem produkcją przy pomocy teksturowanej, ale nie powinno tych kłopotów być w takiej sprawie jak — na przykład — ból głowy. Nie powinno? Trzeci mi królu miłościwy pod kopułą, powiedziałby monarcha współczesny Polak, a król mógłby pomysleć, że jakis kościół może się zawalić.

Chodzi mi jednak nie tyle o dzwiczki, gwary określonych grup społecznych, ale o jezyk potoczny i elementarny, powiedzmy — jezyk, którym posługują się nasze urzędy, chcące przy jego pomocy dobrze być roz-

miane przez obywateli. „Oto fragmenty autentycznej uchwały Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej z 12 stycznia 1972 r. (nazwę miejscowości przez delikatność przemilczam):

„Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej po wysłuchaniu sprawozdania z wykonania obowiązkowych dostaw stwierdza, że obowiązkowe dostawy zboża, mięsa i ziemniaków zostały wykonane pozytywnie, ponieważ jest kilka gospodarstw ekonomicznie podupadłych, u których dotąd żadna egzekucja nie zdołała wyegzekwować żadnych zaległości i nie ze spraw bieżących, a zatem wykonanie to jest zadawalające.

Z tego rodzaju uchwał wynika, że im więcej gospodarstw podupadłych, tym lepsze wyniki dostaw. Jezyk, przy pomocy którego próbują się porozumieć rozmaite instytucje ze swoimi klientami, bywa często tak niezwykły, że wlos bieleje, kiedy się go słyszy lub czyta. Zdarzyło się pewnego szczęśliwego dnia, że jedna z klientek „Eldomu”, została sprawnie i elegancko obsłużona. Uznała więc za słuszne, żeby podziękować, no i wpisała ciepłe słowa do książki życzeń i zależeń, innych książeczek nasze sklepy nie posiadają. Za jakiś czas otrzymała grzeczna klientka takie pismo z dyrekcji: „W odpowiedzi na zgłoszoną skargę — wniosek z dnia 14 marca wyjaśniam, że składamy pani serdecznie podziękowania za fachową obsługę w naszym stoisku”.

Można by wnosić z dyrektor-skiego pisma, że najlepiej jest, kiedy klient sam siebie obsługuje, bez uciekania się do pomocy fachowego personelu, poza tym nie bardzo wiadomo, kto kogo

tak dobrze obsłużył. Klient sprzedawcy, czy na odwrót?

Tak więc ze smutkiem wypada stwierdzić, że zamiast porozumienia nasz jezyk urzędowy coraz wyraźniej wywołuje nieporozumienia. I to w rozmaitych dziedzinach życia. Zdarzyło się kiedyś, że do powiatowego sądu wystąpiło z powództwem dwoje dzieł i ich matka w sprawie ustalenia ojcostwa i alimentów. Wydawał by się mogło, że od kogo jak od kogo, ale od sądu możemy wymagać jasnych, precyzyjnych wyroków. Tymczasem ów Sad Powiatowy — cytując za tygodnikiem „Prawo i Życie” popisał się taką polszczyzną: „Wobec tego, że pozwany zaprzeczył, by w okresie koncepcyjnym przed urodzeniem się drugiego dziecka utrzymywał z jego matką stosunki cielesne, należało uznać, że prawdopodobieństwo ojcostwa co do tego dziecka świadcza S. jest bardziej prawdopodobne od tego, że prawdopodobnym jest, iż ojcem dziecka jest pozwany”.

Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe, tyle tylko, że sadowy jezyk z pewnością zderzonąłby dzieci, które wolałyby mieć rzeczywistego, a nie prawdopodobnego ojca. Pozostaje jeszcze kwestia — kiedy mamy właściwie do czynienia z okresem koncepcyjnym i co to takiego jest? Ma coś wspólnego z koncepcywnością, myśleniem? Posiedzyłem jeszcze trochę w sali sądowej, bo tam rzeczywistym można nalykać się polszczyźnie. Przedstawiciel państwa, ongi słynący z pięknej jezyka, w ten sposób broni swojego klienta: „Jak stwierdzono, pozwany mieszkał

w dniach 16 do 17 sierpnia b.r. w hotelu nie z kobieta, lecz z żoną”. Sad nie pozostaje dłużny, ustala mianowicie co następuje: „Oskarżyciele prywatnej nie można zarzucić, by również wzajemnie bila oskarżonego, ponieważ jej stosunek do oskarżonego był wtedy bierny, to znaczy przyglądała się tylko, jak oskarżony ją bije”.

W ten sposób dowiedzieliśmy się w nie bylejakim miejscu, że żona to nie kobieta, lecz bierna, przyglądająca się istota, z reguły poszkodowana na ciele przez męża.

A oto przykład naszego współczesnego jezyka salonu, jezyka demokratycznego Wersalu, eleganckiego, nacechowanego urzejnością i szacunkiem dla drugiego człowieka. Jeden z bardziej znanych prelegentów wyłożył odczyt, zresztą dobrze przyjęty przez zebranych. Przewodniczący zebrania podziękował prelegentowi w imieniu zebranych w następujących słowach: „Bardzo dziękujemy prelegentowi i nie będziemy przedłużać zebrania, ponieważ i nasz gość jest ograniczony, i my jesteśmy ograniczeni”.

Gdybyśmy już mieli sprawną policję jezykową, to taki urzejny gospodarz mógłby otrzymać zasłużoną karę — niech przepiszcie dziesięć tysięcy razy — „Jestem ograniczony” — i zanieście do wydziału kadr, żeby stwierdzili, że karę odbył własnoręcznie, a nie przy pomocy podwładnych. Powinno poskutkować. Czas nagli, proszę państwa, dzisiaj nie znajdziemy już ani jednej chyba gazety bez dziwagów jezykowych, każde-go dnia ponosi nasz jezyk dot-

klive strąty, a my tak już przywykliśmy do kalekiej mowy, że przestajemy widzieć jej schorzenia i zamiast leczyć dolewamy sami oliwy do ognia.

Zaglądam do szacownego „Zycia Warszawy”, czytając ogłoszenie: „Sprzedam pół bliźniaka w stanie surowym”. Makabryczne ogłoszenie, rzeczywiście handlujemy już półowkami bliźniaków w stanie surowym? „Dziennik Baltycki” ogłasza: „Dziewięcynię zgrabną zatrudnij do rolna nad morzem”, albo „Rolnicy nie zwlekajcie, pokryjcie natychmiast swoje maciory”. W „Dzienniku Polskim” wyczytałem — „Posiadam dużą wtryskarkę i pomieszczenie — oczekuję propozycji”. Co o jezyku takich ogłoszeń sądzić? Że dotarła do nas rewolucja seksualna, obejmująca również świat zwierzęcy? Chyba nie, należy raczej mówić o przestępczości na gruncie jezyka, przestającej się, co gorzej, na hamy naszej prasy, lamy coraz bardziej laskawe dla niszczylieli naszej mowy. Zresztą, coż tu ukrywać, niektórzy dziennikarze celują w wystąpienia przeciw jezykowi. „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej” zafundowała sobie taki tytuł artykułu — „Gdy tubalny głos wzywał na ustępy” zaś „Express Wyczerpany” — „Kaczka po śmierci zaprowadziła na trop złodziei” i jeszcze „Kurier Polski” poważny przecież dziennik takim nas uraczył tytułem: „Najstarszy Europejczyk ma 200 tysięcy lat i został zjedzony”.

Zjedzony został tutaj sens naszej mowy, a nie Europejczyk i naprawdę nie innego w takich wypadkach uczynić nie można, jak tylko wezwać policję.

Zofia i Zbigniew Framerowie, to para piosenkarzy tworząca najbardziej popularny duet wokalny w Polsce. Działalność artystyczną rozpoczęli w klubie studenckim „Piwnica-59” w Łodzi. Z tego miejsca przyhołubiła ich Estrada Łódzka. Z programem zatytułowanym „Marimba”, w towarzystwie zespołu pod kierunkiem Jana Lawrusiewicza, wyruszyli w „trasę” po Polsce, utrwalając na zawsze swą popularność. Za interesowany ich talentem „Paparci” wpisał Framerów na listę wykonawców, których wysłała za granicę. Pod patronatem Polskiej Agencji Artystycznej występowali w Związku Radzieckim (sześć razy), w Niemieckiej Republice Demokratycznej (osiem razy), i czterokrotnie w USA i Kanadzie. Gościli również w NRF, Bułgarii, Danii, Austrii, Szwecji oraz w Finlandii.

Cenią sobie najbardziej koncerty w Paryskiej Olimpij, po których recenzent prasowy Paul Carriera napisał wiele ciepłych słów o ich talencie i reprezentowanym przez nich repertuarze. Bardzo dobrze ocenieni zostali przez Musicohall Moskiewski, do którego zaproszeni byli trzykrotnie, a dwa razy mogli wystąpić jako

sprawdzeni tam i uznani artystami polscy. Innym, cennym dla nich występem za granicą, był udział w koncercie artystycznym odbywającym się w trak-

ciek (m. in. „Mazurska kralina”, „Kochajmy się”, „Złota polska jesień”, „Gdy masz mi coś do powiedzenia” i szereg innych), a także ułożyć listę nazwisk autorów tekstów i muzyki do wykonywanych przez Framerów piosenek. Oto cała plejada: W. Młynarski, E. Bryll, J. Prutkowski, J. T. Stanisławski, Skorupka, L. Bogdanowicz, Cz. Majewski, Wł. Korcz, R. Poznanski i wielu innych, o równie dobrej marce w kraju. Można także przypomnieć, że w grudniu ub. roku Framerowie nagrodzeni zostali „Złotą Ply-

lejny finansowy sukces. Ale polski longplay wyprodukowano głównie dla spopularyzowania nowych, nie znanych jeszcze nikomu utworów. Denerwuje najbardziej to fakt, że były to utwory nie będące w repertuarze Framerów.

O czym to świadczy? Ponieważ przez cały czas odpowiadamy na powyższe pytanie, także i tę sprawę wykorzystujemy do udzielenia na nie odpowiedzi. Tak więc Zofia i Zbigniew Framerowie i tym razem wykazali, że w branży estradowej są po prostu zawodowcami z prawdziwego zdarzenia.

O obecność Framerów na wielu imprezach artystycznych „walczy” wielu organizatorów. Częstoć jednak są nieuchwytni, bo stale gdzieś występują. Wszędzie jednak gorąco witani i nagradzani przez publiczność burzą oklasków.

Artykuł ten ukazuje się w chwili, gdy od 17 maja ponownie reprezentują Estradę Łódzką — ich obecnego patrona — w Związku Radzieckim. Wyjechali tam z ekipą modelek i modeli z Centralnego Laboratorium Dzierżawstwa za pośrednictwem Łódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego „Textilimpex”.

Nim wyjechali, zapytałem ich, co sami sądzą o niegasnącej popularności pary Framerów...

— Staramy się tak dobierać repertuar — rzekł — żeby podobał się publiczności w różnym wieku; od najmłodszego, do najstarszego pokolenia.

AWM.



Fot. Archiwum

## DEWIZA NA NIEGASNĄCĄ POPULARNOŚĆ

ole Olimpiady w Monachium, po którym zostali zaproszeni do dwóch imprez telewizyjnych prezentujących międzynarodową czołówkę artystów estradowych.

Co najbardziej świadczy o niegasnącej popularności Zofii i Zbigniewa Framerów? Odpowiedź jest złożona. Można bowiem przytoczyć kilka wy-

lansowanych przez nich piosenek, chociaż nie ona jest miernikiem tego, co para ta reprezentuje pod względem artystycznym. Na chwilę zatrzymam się przy tej sprawie. Otóż Polskie Nagrania nie chcą być gorsze od zachodnich menedżerów rozrywkę, którzy w USA wydali Famerom dwa longplaye, uznali w końcu za konieczne „nagrać” tych piosenkarzy w Polsce. I uzyskały ko-

## OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

RYSOWAŁ:  
JACEK  
BROMSKI



## STANISŁAW BOROWKIN

## FRASZKI

- A.  
Co gorsze? Poślubić Alę czy też siedzieć w kryminale?
- B.  
Jeśli pió — to wino stare. Jeśli kochać — to Barbarę.
- C.  
Każdy rwie się posiąść Cesię.
- D.  
Pana Dorota laty i mamy — dobra robota.
- E.  
Uroczą Franiam! (Zwłaszcza bez ubrania)
- F.  
Rzekłbym coś Jadwidze ale się wstydzę.
- G.  
Kochałem Krysię. Sprzykrzyło mi się.
- H.  
Nawet erotyczne lenie lwami stają się przy Lenie.
- I.  
Jeśli źle się żyje z Lucją, to nie powód, aby tłuc ją.
- J.  
Ciągłe powtarzam Mariolce, że ma coś z róży. Kolce.
- K.  
Kiedy mówi Pola ustępuje pola.
- L.  
Niki nie jest w stanie oprzeć się Romanie.
- M.  
Na pannę Stasię apetyt ma się.
- N.  
Na sex nieczuli miękają przy Uli.
- O.  
Ostatnie gacie oddam za Wacię.
- P.  
Kto poznał Zosię, ma inne w nosie.

## POEZJA SEKSU czyli W WIERSZU RADOŚĆ

W dużym uznaniem wypada powitać nowy tomik Poezji Seksu (pełna edycja, cyfrowy wydruk) na obwołanie interesujący kadr z „Ziemii Obiecanej” Ołbrychski i Jedrusik w scenie wagonowej). Wybor wierszy poprzedza — miast wstępu — Manifest Poezji Seksu (Sex-Poetry Manifest), grupy poetów którzy, jak pisze „znudzeni poezją strukturalną, lingwistyczną i neokostyczną” chcą „nasyć wiersze radością z ludzkich radości”.

Twórcy Manifestu jasno wykładają swój program; zadaniem naszym — czytamy dalej w Manifestie — jest wypełnienie luki, występującej we współczesnej poezji, luki, która występuje między rubieżnością Odróżnienia a psychologizującymi erotykami, spotykającymi się często w poezji na przestrzeni dziejów. Jest oczywiste, że od seksu nie da się całkowicie odstąpić także i w poezji — i ona, jak literatura powieściowa, teatr czy film musi wzbogacać się czystą, żywą radością erotycznego wstępu dowiadujemy się dalej, że młodzi twórcy nawiązują do formy do strofy klasycznej, „by z kunsztowną, klasyczną formą wiersza ekspresyjnie kontrastowała tak współczesna nam gorąca treść”.

Rzeczywiście — w tomiku znajdujemy cykl sonetów Iacobuski Izabeli Bibki (m.in. „Per os”, „In modo bestiarum”), znakomity wiersz Franciszka Działbala, utrzymany w toku antyfrackim „Kontredans naszych ciał”, wreszcie interesująca ode „Do jej ledźwi” Jana Cizemskiego. Młodzi poeci śmiało operują jambem, daktylem czy anapestem. Z dużą dbałością o formę przestrzegają poetyckiego rytmu, a jeden z twórców Manifestu — Henryk E. Jakulat pokusił się nawet o ułożenie niezwykle skomplikowanego cyklu sonetów — tzw. harmonii.

Często sięgają też po „romantyczną strofę Teofila Gautiera” — zdaniem Janiny Bibki doskonale oddającej rytm frykeli Nieprzypadkowo wśród patronów swego ruchu młodzi wymieniają Baudelaira, „Naga była najdroższa. Meż żądry powolna...” W wierszu J. Bibki „Klejnol” łatwo dostrzec próbę nawiązania, bez popadania wszakże w pastisz czy plagiat:

Złotyłam ci głowę na piersi; i nieszczęście  
en face poznawałam profil twego ciała  
wiatr wiałeś w żagiel — płynęliśmy chyżej  
na nieboskłonnie domyślnym nic nie spostrzegaliśmy

Tak poznawałam odmetę pieszczoty  
un peu complice — jak rokokowo  
w spłodzie nierealnym — dwa włosyś Koty,  
którym ciepło i zimno, gorąco i mokro

Molch piersi ostrza ranili twe biodra  
przecież mnie nie było, przecież byłam modra  
— tylko twych dłoni łajdany na łydkach

Które najsłodsza obreza mnie skulę;  
ach, nie odchodź jeszcze krasnoludku czuły  
prosi Colombina, dziewczica i dźwięka

Warto odnotować na zakończenie, że twórcy Manifestu Poezji i Seksu i autorzy tomiku zdecydowanie oddziałują się od fałs porno. „Która tak skutecznie podmywa grunt sztuki”.

„Poezja Seksu z Manifestem” („Sex — Poetry and Manifest”) — wydawnictwo... no cóż, jeszcze nie wiadomo które, cena też do ustąpienia, grupa młodych entuzjastów nie każe zapewne długo na siebie czekać... Na razie tomiku takiego, nie ma jeszcze, ale na wszelki wypadek uprzedzamy sprawę...

M. MISZAŃSKI

## POWIĘKSZENIA

ROZGŁOSZENIA

„Radiowcem z Łódzkiej Rozgłośni „stuknęło” 30 lat działalności” — pisze „Głos Robotniczy”, i dodaje: „To smutny czas”. Otóż nieprawda. Radiowcem z Łódzkiej Rozgłośni „stuknęło” lat bez mała pięćdziesiąt. To też smutny czas, ale że większy.

KULISY DISKUSJI

W telewizyjnym „Pogazie” odbyła się niedawno dyskusja na temat obrazu drugiej wojny światowej w literaturze polskiej. W czasie programu jeden z uczestników sformułował swój pogląd — drugi z poglądem się nie zgodził. Tak było naprawdę, a jak to zobaczyli i usłyszeli widzowie?

Pisze Olgierd Terlecki w „Życiu Literackim”: „Wyniki spór nieduży, ale w każdym razie spór, niestety nie z tego nie dotarło do widzów, ponieważ laskawy pan realizator najspokojniej replikę wydał (...) Krótko mówiąc, i po warszawsku — pic i fotomontaż”. To się nazywa montaż telewizyjny.